

Pötzelberg „Stara melodia“.

Moment Tylży (r. 1807) w romantyzmie polskim.

(W stuletnią rocznicę).



nym poddanych Fryderyka Wilhelma“:

„Najjaśniejszy Panie, król Imć Pruski odebrał pewne i godne wiary doniesienia, iż w niektórych miejscach kamery Departamentu Poznańskiego i Kaliskiego insurekcyjne poruszenia okazać się miały. Przeto J. K. Mość pod prawa wojskowe oddaje i rozkazuje wszystkim wojskowym i cywilnym urzędom każdego szlachcica, który drugich do insurekcyi wzbudza lub z blizka albo zdaleka do niej należy, schwytać—i do najbliższego urzędu wojskowego oddać. Wszystkie zaś urzęda wojskowe nad każdym schwytanym szlachcicem w przeciągu 24 godzin krygsrecht odbyć powinni, a gdy on przekonany będzie, iż do insurekcyi należał, na miejscu ma być rozstrzelany“.

„Koehler m.-p.“

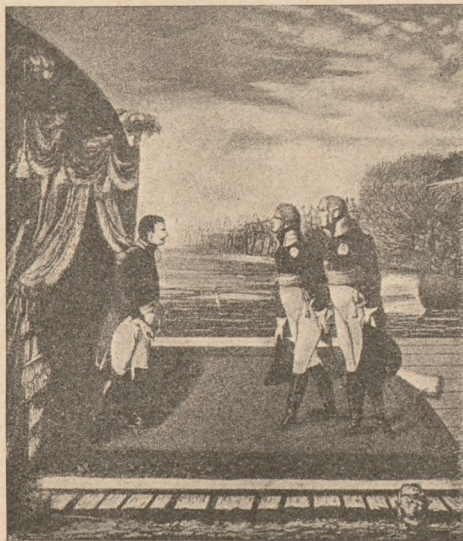
W tydzień później (w dn. 26. XI. 06) ten sam gubernator pruski Koehler wyjeżdża już w panice z Warszawy; zjednoczone wojska pruskie i rosyjskie przeciągają nie bez popłochu na prawy brzeg Wisły. Warszawa uczuwa się miastem wolnym od znienawidzonego rządu pruskiego. Obywatele obejmują warty. Książę Józef Poniatowski z ramienia rządu francuskiego bierze dowództwo nad milicją miejską. W dniu następnym (27. XI. 06) w mury Warszawy wkracza pierwszy szwadron francuzki, a na rogach ulic „publicandum“ Koehlera pokrywają pierwsze proklamacye Napoleona do ludu polskiego.

Warszawa przestaje być *de facto* od tego dnia składową częścią Monarchii Fryderyka Wilhelma.

Następuje półroczny okres miodowych upojeń nowego związku: miłości narodu polskiego z Napoleonem; miłości, jakiej nigdy

przedtem nie zaznała jeszcze historia świata.

O tym epickim szeregu poświęceń, które oblubienica — Polska kładła pod stopy bożyszcza, o tych ofiarach krwi, mienia, zaparcia się siebie — historia polityczna owych dni powiedziała już słowo definitywne. Natomiast nieproporcjonalnie mało zajmowano się w naszym dziejopisarstwie tem, co stanowi literaturę, ściślej mówiąc, poezję uniesienia przed-tylżyckiego. Nie zwrócono uwagi, że te właśnie dni, owo półrocze, pedantycznie zamknięte w okresie czasu 27. XI. 06—22. VII. 07 (data konstytucyi Księstwa Warszawskiego) duch pokolenia wyciosał kołyskę dla tego istnienia bohaterskiego, któremu na wzór obcy nadano imię *romantyzmu*, a które w tłumaczeniu polskiem winno brzmieć: *ducha uskrzydlenie!*



Spotkanie trzech monarchów w Tylży.

Za trumną Polski-ojczyzny szli poeci już niemi z odrętwienia — mówi Mickiewicz o tych strasznych i dla literatury latach 1798—1806. Istotnie, w dniu trzeciego rozbioru Polski, śmierć lub rozpacz rozebrały też już między sobą wszystko, co było wybitniejszego na Parnasie Stanisławowskim. Nie było już ani jednego wśród nich, któryby matce nad grobem mowę żalobną w natechnionych strofach z piersi swo-

jej wyrzucił, ani jednego, któryby kamień mogilny jednym choćby, ale strasznym słowem porał. Nie było ani jednego!

Nieszczęsny Trembecki, w demencji żalośnej ostatnie dni sędziowości swojej wiodący w Tulczynie...—tak jest: w Tulczynie, na łaskawym chlebie komisarzy Szczęsnego Potockiego, od ludzi stroniący, z wróblami na rozmowie godziny trawiący—ten Trembecki jest we wspomnieniu epoki czemś więcej, niż kartą własnej biografii: to jakby szydercze straszczenie ówczesnego nędzarstwa duszy polskiej; spazmowy skrót tego, co tomy mówić mogą o społeczeństwie i literaturze pierwszych przeklętych lat...

Kto wie, czy nie melancholijniejszy jeszcze był duch następnego w piśmiennictwie pokolenia.

Pokolenie to, któremu przypadło w udziale zasłynąć walką z Mickiewiczem, strachem przed ogniem ducha, nienawiścią do wielkości polskiej, pokolenie to kształtowało się w te właśnie przekłete lata 1798—1806, które w sferze psychicznej były dostatecznym wcieleniem wszelkiego *bez-kształtu*. Wszystkie dawne dane odczuwania poszły w grób, a żadne nowe nie narodziły się jeszcze. Taki stan rzeczy trwał w sentymentach politycznych, takie same upodobania panowały w estetyce.

Dla pewnych ludzi, niewątpliwie mądrych, ówczesnej epoki, Napoleon był awanturnikiem—jakobinem, którego nie dziś to jutro poskromi król Pruski, lub Imperator. Zwycięstwa jego witano w owych gronach, jako zapowiedź anarchii i demagogii; na legiony polskie patrzano, jako na nieuniknioną febrę tych, „którym się w głowach pali“. Niezapomniane są te stronnice pamiętników Kajetana Koźmiana, na których z zachwytem opisuje postać Mikołaja Wolskiego, pałacowego poety i statysty Stanisława Augusta, — długie z nim rozmowy na temat Napoleona; jak Mikołaj Wolski „życzył, aby koalicja wstrzymała potok rewolucyjny; ja patrzyłem na obroty spraw politycznych, jako młody polak, on — jako człowiek doświadczony i przezierający rzeczy z punktu polityki wszechświatowej“. W zachwycie Koźmiana widzimy, jak szczery odruch odczucia politycznego uchyła głowę przed *autorytetem formuły*. Mikołaj Wolski, uczestnik „ex-deputacyi do interesów zagranicznych“ Stanisława

Augusta, imponuje panu Kajetanowi składnością myślenia kancelaryjnego. Mniejsza o wartość istotną tego myślenia, mniejsza o skalę doświadczeń dyplomatycznych, zaiste ograniczonych w ramach „deputacyi do interesów zagranicznych J. K. M.“ — sąd polityczny Mikołaja Wolskiego przemawia do młodej duszy słuchacza czemś więcej, niż swoją wartością faktyczną, przemawia do niej urokiem *żywego wspomnienia* Polski państwowej. Nie książka, nie pamiętnik, nie relacja osoby trzeciej, ale sam Mikołaj Wolski, statysta, którego nazwisko kreślone było na dokumentach wagi jeszcze europejskiej, tuż obok faktycznego bądź co bądź monarchy polskiego — Wolski dla Koźmiana jest realnym pojęciem tego, o czym dzisiaj, po roku 1798, „młody polak“ tylko śnić może.

A trudno przecież wyobrazić sobie, by sny niepodległości nie włożyły po męczarniach ułudy każdego, w kim — w te lata pamiętne — kołatała się jeszcze żywa dusza polska. Na tle tych snów starajmy się zrozumieć respekt Koźmiana dla sądów martwych i aż komicznych niemal.

Oczami w słup obróconymi w stronę Polski Stanisława Augusta, pałło pokolenie tej inteligencji, która wydała Koźmiana, czy Osińskiego. Był to wzrok uparty i niezdolny do widzenia niczego więcej. Zdrętwienie promienia wzrokowego przenieśli oni i na sprawę literatury. Ci ludzie nie wyobrażali sobie nawet możliwości innych form sztuki nad te, którymi operowali: Józef Szymanowski, Bielawski, Wolscy etc. A jeżeli dopuszczali możliwość *innej* formy, to odrzucali *a priori* spór o jej wyższość: nie mogła w estetyce powstać forma lepsza nad tę, która zachwycała ludzi, ocierających się o faktycznego bądź co bądź monarchę polskiego, o monarchę żywej, a nie we snach wskrzeszanej Rzeczypospolitej...

Epoka kulturalna Stanisława Augusta — dzięki właśnie tradycji bezpowrotności swojej — wdrażała się w świadomość pokolenia porobiorowego, jako ołtarz kultu. Dzięki bezpowrotności swojej i na

tle strasznej bez-nadziei kulturalnej, imiona Szymanowskich, Wolskich, kogokolwiek — urastały do wysokości pomników. Stało się z umierającą Polską to, co przechodzą kultury młodziutkie: — entuzjastują się każdą swoją zdobyczą i wywyższają ją za to, że istnieje.

Polska estetyka porobiorowa tkwiła też bez reszty w tem, co wypracowali estetycy Stanisława Augusta.

Z takimi mniej więcej pojęciami wzrastał każdy młody Polak-poeta generacji Kajetana Koźmiana. Nie zapominajmy, że i pan Kajetan za decydującą radą Wolskiego „nauczył się na pamięć *de arte poetica* Horacego“, nim się ośmielił sam pisać — i że wraz z wykuciem ostatniej strofy już był ostatecznie pewny o swym talencie: „Chwytną do ręki pisarzy wieku Zygmunrowskiego i Stanisława Augusta — pisze — dostrzegłem, że *ci tylko dobrze pisali*, co się wpatrzyli w starożytnych i zbliżyć się do nich usiłowali“.

Autorytet *Weneri z Knido* i pałacowych tłumaczy Boileau'a przygniatają go całkowicie. Ośmielamy się podkreślić raz jeszcze: przygniatają go nie logiką argumentów, lecz przede wszystkim, choć nie świadomie — sentymentem czasu, w którym do życia literackiego powstawały.

* * *

A teraz próbujmy światłem kontrastu rozstrzygnąć, czem dla psychiki estetycznej tak rozwijającego się pokolenia mogły być półroczne wydarzenia, objęte wskazaną ramą 27.XI.1806 — 22.VII.1807?

Jeżeli tłem psychicznym pierwszego pokolenia porobiorowego była rozpacz, jeżeli z tej rozpaczki wyrastało uwielbienie dla przeszłości, choćby Stanisławowskiej, to zrozumiemy jasno, iż pierwsza proklamacja Napoleona uderzyła naraz w pierś Polski obuchem cudownej jakiejś radości. Wolno się spodziewać tego, o czem wolno było tylko śnić! Gdy dotąd świętością była

tylko *przeszłość* — teraz naraz wyrasta obok niej druga: *przyszłość*. Tem samym z przeszłości odpada połowa wybraństwa. „Trza, aby święte były!“, ale bijące serce obiera sobie rzeczywistość, nie historię, za patrona — i ołtarze buduje dla form rzeczywistego istnienia. Mikołaj Wolski ze zdziwieniem ogląda się — i widzi machnięcie ręki słuchacza, gdy mu recytuje o niebezpieczeństwie jakobińskim Bonapartego. Oczywiście, tym słuchaczem



Kajetan Koźmian.

nie jest już Kajetan Koźmian, który siłą swojej umysłowości sam się stał Mikołajem Wolskim potrochu; ale lekceważącym słuchaczem form Stanisławowskich staje się bezwiednie każdy, przejęty chwilą. W owo złote do uniesień półroczne niema już prawie ani jednego *współczesnego* człowieka, któryby holdował rozpaczki. Znikła rozpacz — a z nią wraz znika i racja psychiczna trwania w epoce przedporobiorowej. Manifesty Napoleona podsuwają duszy polskiej *nowe, a realne dane odczuwania*. Wraz z niemi do poezji wkraczają nowe dane tworzenia. *Wenus z Knido* i Boileau przechodzą do legendy. Naturalnie nie dla Koźmiana, który się już zrózł z niemi nierozdzielnie, ale dla całej rzeszy ludzi, nawskroś naiwnych, nieswiadomych tego, czem jest wzór i Horacy, ale zato przejętych do żywa tem rozrywającym serce tętmem upojenia, które idzie przez Polskę, aż do dnia podpisania traktatu tylżyckiego.

Jak się z chaosu rozwijał bezkształtny zrazu, nowy świat twórczości, postaramy się w kilku rysach uplastyczyć.

A. Grzymala-Siedlecki.



Nasi artyści.

Stanisław Masłowski.

„Jak ten Masłowski maluje pysnie kapustę“!... Taką pochwałę wygłosił kiedyś Witkiewicz, przed laty, kiedy wszyscy „szanujący“ się malarze przysięgali li tylko na realizm, i jego największego arcy i cudotwórcę: Bastien-Lepage'a.

Masłowski był jednym z naszych najpierwszych „wrażeniowców“ realistów. Z akwarelowym blokiem, farbami i troczą wody zaszywał się w trawę, w krzaki, w redliny karto-



Stanisław Masłowski. Z wyprawy hiszpańskiej. Porwanie.

fli lub bruzdy kapusty i tam, z pasją i zupełnym przekonaniem, oddawał świat widziany, bez żadnych zastrzeżeń, zmian broń Boże! lub wyboru... Zupełnie w myśl doktryny: „Sztuka to kawał natury — widzianej



Stanisław Masłowski.

przez temperament artysty“. Itak powstawały około mniej więcej 1882-go roku przepyszne — no — wprost świetne „studya“, owe nieporównane: łąki: całe połacie pługiem zarwanym „podorywek“, kawałki chłopskich ogródków, gdzie skrzyły się miriady maków, groszków, buraków o fioletowych liściach, zimno zielonkawych galarep, i naturalnie owych niedoścignionych, całymi zagonami portretowanych głów kapuścianych. Malarz, wrażliwy na barwy i jej odcienia jak mało kto u nas, z pasją, z wściekłością przemalowywał z grzęd te bogate kombinacje natury, te nieprzebrane reflexa, te „pointy“ wspaniałe — którym żadna zresztą paleta ani dorówna ani naśladować wydoła. Kto pamięta przykazania malarskie owej epoki, wie dobrze że: komponować, kombinować, w ogóle przedstawiać w sztuce cośkolwiek nie branego wprost z natury, nie egzystującego w świecie

realnym, zwano krótko: imaginować, i węzłowato: „oszustwem“. Malarz owej chwili straszliwej: „zaćmienia mózgowicy twórczej“, jeśli pragnął stać na „wysokości czasu“, musiał absolutnie być „realistą“ — inaczej był stante pede ogłoszonym za złe i głupawe bydlę, lub „nieszczerego pajaca-kiczoroba“! Obraz musiał koniecznie przedstawiać świat zmysłem przystępny, namacalny, istotny, egzystujący, stały i wszystkim bliski, nawet filistrom. Na ten też cel najlepiej nadawały się wszelkie: ludzkie, pejzażowe, zwierzęce i achitektoniczne portrety. Cała owoczesna wytwórczość malarska zamykała się w portretowaniu wyżej wymienionych motywów.

„Czego nie widzisz — nie maluj“ mawiał Gieryski Alexander — a sam

nie wiedział, że właśnie najlepiej to malował co intuicyjnie tylko czuł — a nie kopiował — to jest: „ton“.

Ale teorie się zmieniają zawsze, a zostaje w sztuce to co zrobili w owych chwilach tędzy artyści; otóż w naszej sztuce z tego okresu zostaną na zawsze owe akwarelle Masłowskiego! Każdy artysta, choćby i najindywidualniejszy, jest dzieckiem swego czasu, wychowawcem swej epoki, tego piękna — stygmatu nikt ominąć nie zdoła. Masłowskiego pierwsze kroki w sztuce przypadły na rozkwit realizmu, przejął się nim nad miarę i wiernym mu pozostał — a kto wie czy w innych okolicznościach ten „realista“ nie stałby się „fantastą“?

Człowiek tak uzdolniony, łatwo mógłby odpowiedzieć i innym zada-



Stanisław Masłowski. Kozak.



Stanisław Masłowski. Czwórka bałagulska.

siłą i jego znaczeniem w sztuce naszej jest *Indywidualność*. Masłowski bywa gorszy i lepszy. Bywał już nieraz w pewnych swych obrazach doskonały, ale Masłowski nigdy do nikogo innego podobnym nie był, był zawsze sobą, Masłowskim. On nikomu niczego z obrazów nie podpatrywał, ani żywych ni martwych przedmiotów z innych obrazów nie sprowadzał, efektów używał własnych, takich właśnie, na jakie go stać było, byle prawdziwych i prawdopodobnych. A to jest dużo. Na wielu, bardzo wielu artystów taki jeden przypada, i zazwyczaj mało kto to rozumie i ocenić zdoła. Tem więcej, że uzdolnienia podobne Masłowskiemu nie rzucają się w oczy, są skromne w środkach i to co zwie się tanim efektem, co jest dla wszystkich zrozumiałem i przystępnem, tego im brak zazwyczaj.

Masłowski maluje sobie — nie komu — i za to mu dank właśnie przypadnie, kiedyś, kiedyś — zupełnie!

Władysław Wankie.

niom sztuki. Jest w naturze Masłowskiego skłonność do marzycielstwa, liryzm obrazowy — lecz brak mu języka plastycznego do zupełnego, dojrzałego wypowiedzania się. Jest to niedostatek, nie ducha lecz faktury, umiejętności w tym kierunku. Ilekroć wkracza w świat idealnej formy, symbolu — kuleje. On, jedyny i prawdziwy, staje się niemal niedołącznym, środki malarskie zawodzą go, forma staje się niepewną i chwiejną. Czy mam wyliczać obrazy podobne — znamy je przecież — pocóż imiona?

Prócz pejzażu, w którego przedstawieniu spoczywa główna siła Masłowskiego, maluje on i malował zawsze konia i człowieka, bywają pewne tematy, w których skojarzenie tych trzech mo-

tywów malarskich dawały dobre całości, dobre obrazy — lecz siłą, forszą jego pozostanie zawsze sam widok, pejzaż ze wszystkimi nastrojami od świtu po noc gwiazdną, w których odczuciu takim, nieraz kapitalnym bywa majstrem, malarzem wielkiej szczerości tonu, pogłębiania i przedewszystkiem wyczucia tego tak trudno dającego się schwycić uroku barwnego, jakim znaczą się efekta nocy.

Masłowskiego największym atutem, jego



Stanisław Masłowski. Cyganka.



Museum Narodowe w Krakowie).

Stanisław Masłowski. Wschód księżycy.

Sławny Człowiek.

POWIEŚĆ.

Codziennie po południu przychodził do niego Stanisławski, z którym się pogodzili, obleli obficie zgodę i powrócili do dawnej, serdecznej zażyłości. Jadali teraz razem obiady. Galicyanin wyznał szczerze Poreckiemu, że chwilowe zerwanie stosunków pomiędzy nimi było mu bardzo przykre i że pojedynkować się nie miał najmniejszego zamiaru. Tak, dał się unieść ogólnemu, waryackiemu prądowi, który na szczęście przeminął.

Rzeczywiście, po dniach niesnasek i spisywania protokołów, nastąpiły dni złotej zgody. Członkowie kawiarnianego klubu żyli znów w jaknajczulszej harmonii, po dawnemu obmawiając się po za oczami. Tylko sprawa pomiędzy Poreckim a Osmęckim była jeszcze niewyrównana. Ale sprawa ta posunęła się tak daleko: spisano tyle protokołów, powołano tylu świadków, że trudno było dla niej znaleźć honorowe zakończenie. Na razie, ponieważ i Porecki i Osmęcki powołali kilku świadków, którzy byli nieobecni w Warszawie, zawieszono ją.

Stanisławski ostrożnie i dyplomatycznie zaczął nakłaniać potęgę do pogodzenia się z Osmęckim. Dyplomacya jego była jednak tak przejrzysta, że Porecki odrazu ją przeniknął. I postanowił zrzadzeniom losu pozostawić wszystko, uważając, iż on mądrzej kieruje zwykle życiem, niż rozum ludzki. Pod wpływem dotkliwszych rozgoryczeń, żal do wroga wyparował mu z serca. — Świnia jest — powtarzał w duchu — ale wszyscy ludzie są świnie. — Szeroki ten pogład niezmiernie mu ułatwiał drogę do pojednania i przeczuwał, że ono prędzej, czy później, nastąpi.

Pragnąc jaknajszybciej ukończyć dramat, pracował z zapałem i wmawiał w siebie, że po zatem nic go na świecie nia obchodzi. Ale jednocześnie czuł dobrze, że ten zapał jest tylko nieszczerą komedią, którą się chciał oszukać i zagłuszyć. Wstyd mu było przed samym sobą przyznać się do tego, więc w myślach prawdziwe swoje uczucia nazywał kabotynizmem. Naprawdę żył wyczekiwaniem jakiegokolwiek wiadomości od Izy. Wciąż się spodziewał, że mu nazaczy spotkanie, że napisze do niego list wreszcie, ale że tak, czy owak

wypowie jakieś ostatnie słowo. O ten list codzienie się dopytywał szwajcara i przenikliwie badał go oczami, podejrzewając, że może nadszedł, a nie doręczono mu go przez niedbalstwo... Nieraz godzinami całemi zastanawiał się nad tem, snuł łańcuch logicznych rozumowań i zawsze dochodził do matematycznie pewnego wniosku, że Iza musi się jeszcze do niego raz zwrócić, co jest nieubłaganą konsekwencją psychologii kobiecej. Ale dzień po dniu mijał, tydzień prawie dobiegał już do końca od tej chwili, gdy na wizycie u hrabiny Dymnickiej dowiedział się o formalnych zaręczynach swej „narzeczonej“, a listu nie było.

I ta ćma dręczyła go najbardziej. Właściwie tylko ta ćma... Pogodził się już był z myślą o zerwaniu z Izą, ale w głowie nie chciało mu się pomieścić, żeby tak zerwanie mogło się odbyć tak jakoś bez niczego. Pewnego dnia wpadł na chytry pomysł. Zwrócił się do Stanisławskiego:

— Słuchaj ty, powiedzno mi jedną rzecz. Weź tak na zdrowy chłopski rozum... Mam w dramacie sytuację następującą: Kobieta, która miała stosunek z mężczyzną, zresztą dość przelotny, zrywa z nim... Otóż chodzi mi o to... czy może zerwać, nie wyjaśnwszy mu przyczyn, pojmujesz, nie rozmówiwszy się z nim ostatecznie?

— Ta, czemu nie — odparł obojętnie galicyanin.

Porecki uśmiechnął się pogardliwie.

— A ty myślisz, że nie — zapytał Stanisławski, widząc jego uśmiech.

— Ja myślę, że chodźmy na obiad — odparł Porecki lekceważącym tonem. Postanowił nie rozmawiać już ze Stanisławskim o psychologii kobiecej. Żal mu nawet było, że się zwracał do niego z tem pytaniem, mógł być przecież zgóry przewidzieć, co mu takie gruboskóre bydlę odpowie... I tak go to do galicjanina zniechęciło, że wogóle stracił chęć do rozmowy z nim. Zwykle po obiedzie chodzili we dwóch na kawę, tym razem jednak Porecki wymówił się:

— Nie mam czasu.

Poszedł sam do innej kawiarni.

Tam we drzwiach spotkał się niespodziewanie z Lipczyńskim, który wychodził właśnie.

Przywitali się bardzo serdecznie:

— Czemuż się nie pokazujesz?

— Czasu nie miałem. Kończę nową rzecz, a mam takie usposobienie, że kiedy piszę, to już nic pozatem nie istnieje dla mnie na świecie...

Lipczyński uśmiechnął się banalnie. Chwilę stali w milczeniu. Porecki czuł, że obaj nie mają już sobie do powiedzenia.

— To nowa rzecz?

— Nowa.

— Wierszem, czy prozą?

— Wierszem.

— Ach przypominam sobie... Wspominałeś... Będziemy cię okłaskiwali.

Rozmowa znowu się urwała.

— Cóż panna Iza porabia?

— Z nią trudno się teraz dogadać.

— Kiedyz ślub?

— Ano jeszcze nie naznaczony. Wpadnij też, bo one już w tych dniach na wieś wyjeżdżają. Znać na tobie przepracowanie, bo dość kiepsko wyglądasz... Przepraszam cię, ale muszę uciekać.

Uścisnęli się serdecznie za ręce i Lipczyński znikł za drzwiami kawiarni.

Po odejściu jego Porecki przez długą chwilę miał wrażenie jakiejś dziwnej pustki w głowie. Jak gdyby wszystkie myśli uciekły mu z pod czaszki. Machinalnie usiadł przy stoliku, kazał sobie coś podać, wziął numer jakiegoś pisma do ręki i uważnie zaczął je odczytywać. Ale kiedy odłożył gazetę, ani jeden wyraz, z tego co czytał, nie został mu w pamięci. Dopiero po chwili jakieś oddzielne, urywane słowa, zdania i obrazy poczęły mu się błąkać po mózgu. Ośnieżone pola skowronkowskie, zadymiona izba w zajeździe, w miasteczku, szary i dżdżysty dzień; ten pamiętny jego pierwszy dzień w Warszawie, po powrocie ze wsi od Teżewskich. Zdawało mu się, że wszystko to ucieka od niego coraz dalej i dalej i zacieiera się w bezbarwnej mgle... Siedział w kawiarni do zmierzchu. Kiedy pozapalano światła i muzyka poczęła grać, wyszedł. — Napiszę do niej jutro list — myślał — i rano pošę do hotelu: „Pani. Pragnąłbym jeszcze raz...“ Nie, to „jeszcze raz“ brzmi zanadto melodramatycznie. Poprostu: „Chcę

zwrócić pani jej listy, prosiłbym uprzejmie o zobaczenie się ze mną". Przyjdzie, listy będzie chciała odebrać.—Uśmiechnął się chytrze, zadowolony, że wynalazł tak dobry sposób na zmuszenie Izy do przyjęcia.—I porozmawiamy. Powiem jej, ach, powiem jej krótko... — Z lubością powtórzył kilkakrotnie ordynarny, uliczny wyraz.

XXX.

Wieczorem miał być u hrabiny Dymnickiej, ale nie poszedł. Zbrzydły mu wszystkie „przyzwoite“ domy i stosunki. Gorączka przepelniała mu duszę i czuł potrzebę wyładowania jej, a do tego nie nadawała się wcale sztuczna i sztywna atmosfera saloniku hrabiny. Odszukał Stanisławskiego i upili się razem. Strasznie... kiedy nad ranem galicyjanin odwrócił się do domu, jak trup przewrócił się na łóżko i spał w ubraniach do południa następnego dnia. Obudził się w strasznym stanie: chory był zupełnie i nie miał ani grosza.

Postanowił pójść do Bauma-
na i od niego pożyczyć pieniędzy.
Innego źródła na razie nie posiadał.
Z handlowcem nie widzieli się
bardzo dawno, ponieważ Bauman,
pochłonięty całkowicie namiętnością,
jaką w nim obudziła Bielecka,
przestał się ukazywać znajomym.
A Porecki sam go nie szukał.
Tak się ostatnimi czasy składało,
że Bauman nie był mu potrzebny.
Przytem poeta nie mógł się otrząsnąć
z nie miłego wrażenia, że sprzedał
kochankę i to wzbudziło w nim
do dawnego przyjaciela silną niechęć.
Rad był, że ich stosunki ochłodziły.
Ale teraz, po zerwaniu z Izą,
postanowił wskrzesić je na nowo.
Pominawszy już wzgląd materalnych
korzyści, jakie mogły być z tego
wyniknąć, czuł rodzaj bezinteresownej
tęsknoty za handlowcem. Porównywał
go w myśli z Turskim, Lipczyńskim,
Zawirskim i porównanie wypadło
na korzyść Bauma. Tamci byli
próżni, fałszywi, zarozumiali i bez-
dennie głupi — dobrzy co najwyżej
do bezmyślnej zabawy w gabinecie.
Uważali się za coś wyższego
od innych ludzi, a dusze ich
przepelniało naprawdę jedno
tylko pragnienie — pieniędzy. O ileż
wyższym, lepszym, rozumniejszym
od nich był taki Bauman,
którego jednak oni wszyscy lekce-
wazyliby na pewno: „Jakiś tam
komiwojażer...“ A jednak ten
komiwojażer pracował, był uży-
tecznym członkiem społeczeństwa,

miał zacne serce, gotów był ka-
żdemu przyjść chętnie z pomocą
i posiadał umysł stokrotnie głębszy,
niżli tamci wszyscy razem
wzięci... Dowodziło tego już choć-
by jego zamiłowanie do spirytyzmu...
Czy któremu z tamtych przyszła
kiedy na myśl taka rzecz,
jak był zagrobowy...

W zapale rozmyślań duchowa sylwetka Bauma rysowała się
przed Poreckim coraz jaśniej-
szymi barwami. I w takim na-
stroju poszedł do niego do biu-
ra. Handlowiec, ujrawszy poetę,
szczerze się ucieszył. Rzucili się
sobie w objęcia, wyściskali, wy-
całowali.

— Co się z panem działo?...
Wyjeżdżał pan gdzie?...

— Siedziałem w Warszawie.
Pana nigdzie nie było widać...
Tak się pan zaszył...

Bauman wykonał jakiś nie-
określony ruch ręką. Przygląda-
jąc mu się, Porecki spostrzegł,
iż handlowiec bardzo źle wyglą-
dał. Oczy miał podsiniałe i za-
czerwienione, jakby od bezsen-
ności, z niezwykle pośpiesznych
ruchów i tonu mowy przebijało
chorobliwe prawie zdenerwowa-
nie. Przytem or, tak zwykle
staranny około siebie, dziś od-
znaczał się wyjątkowym zanied-
baniem: był nieogolony, w brud-
nym kołnierzyku... Porecki z po-
dziwem mu się przyglądał.

— A to go zjadła — myślał.

Bauman, przeprosiwszy po-
etę, kończył pośpiesznie pisanie
jakiegoś listu. Nagle gwałtownie
się zakaszłał. Potem, obciera-
jąc chustką zaczerwienione oczy,
zwrócił się do Poreckiego:

— Przeziębłem się trochę.

— Teraz taki czas, najłat-
wiej się przeziębic — odparł Porecki,
stosując tą konwencyonalną
pociechę, która bardzo względną
jest pociechą. A jednocześnie
myślał:

— Znam ja takie przezię-
bienie.

I żywo zarysowało się przed
nim wspomnienie Bieleckiej. Ta
noc po powrocie ze Skowronko-
wa, kiedy to chciał się wieszać
i nawet jakieś głupie listy powy-
pisywał... Korzystając z tego, że
Bauman zajęty był jeszcze pisa-
niem, począł wskrzeszać w myśli
przeżyte sceny... Bielecka wyda-
ła mu się w tej chwili tak po-
nętą, że jedno tylko mógł sobie
powiedzieć w duchu: „Dureń by-
łem, okropny dureń“. Dla jakiejś
głupiej, histerycznej panny stracić
taką bajeczną kochankę. I uświadomił
sobie pragnienie, które już od kilku
dni snuło mu

się niewyraźnie po duszy. Odbi-
je Baumanowi Bielecką. To, że
Bielecka do niego powróci, wyda-
wało mu się tak pewnym, że nie
myślał o tem wcale.

Handlowiec złożył list i pod-
niósł się od biurka.

— Służę panu, panie Wacła-
wie. Chodźmy gdzie na kawę
i tam pogadamy.

— Właściwie — zaczął Porecki
i urwał.

— Co?

— Nic, nic... Chodźmy... Ow-
szem, mam czas i z chęcią z pa-
nem porozmawiam.

Po owem „właściwie“ na któ-
rem poeta urwał zdanie, miał on
zamiar prosić Bauma o pożyczkę.
Ale ponieważ nie widzieli się
dawno, postanowił się przed-
tem rozgadać z nim i przyjaźnie
go do siebie usposobić. Niepo-
koił go trochę zaniedbany wygląd
Bauma. Przyszło mu na myśl,
że może się na Bielecką rujnuje.
Postanowił go wyciągnąć delika-
tnie na zwierzenia, no i, o ile by
to, co przypuszczał, było praw-
dziwe, wpłynąć, żeby nie popeł-
niał szaleństw.

— Panie Wacławie — odezwał
się nagle Bauman, — tu gdzieś
na Krochmalnej mieszka wróżka.
Nie słyszał pan o niej?

— Nie.

— Ja się wybieram.

— Pójdę z panem — podchwy-
cił żywo Porecki. Sam już od
paru dni miał ten zamiar i roz-
pytywał się znajomych o adresy
chiromantów i wróżbitów. Czuł,
że od chwili zerwania z Izą roz-
poczyna się dla niego nowy okres
życia i dręczyła go ciekawość:
co tam będzie.

— Co pani Bielecka pora-
bia — odezwał się z dyskretnym,
porozumiewawczym uśmiechem.

Bauman drgnął. Na twarz
wystąpiły mu chorobliwe wypieki
i, spuszczaając oczy, tak, jak-
gdyby się wstydził wzroku Pore-
ckiego, wyszeptał cichym, rozbi-
tym głosem:

— Pan nic nie wie...

— Nie.

— Zerwaliśmy ze sobą.

Odwrócił się szybko tyłem
do Poreckiego. I stał tak przez
kilka chwil. Poeta miał wraże-
nie, że chce ukryć przed nim Izy,
które mu napłynęły do oczu. I tak-
ką czuł sympatyę do pocziwego
handlowca, że w tej chwili wszyst-
ko byłby mu poświęcił. Uśmiech-
nął się melancholijnie.

DCN





Józef Gabowicz. Samoobrona.

(Dzieło to wystawione w tegorocznym Salonie Pól Elizejskich w Paryżu, znalazło nabywcę, który zapłacił za nie pokaźną sumę 10,000 franków).

Z literatury.

KOŚCIUSZKO.

Dramat J. Marcinowskiej.

Postać prawdziwie, jedna ze „świętych polskich“, właściwie głosem żądnego poety jeszcze nie wyśpiewana. Czyż by to, że jest ona już pojęciem i symbolem, że jest integralną własnością całego narodu, miało zniechęcać twórców szczerych? Przecież ostatecznie żyjemy już w czasach, w których nam wszystkim należy stawić przed front społecznych nie problematyczne figurki, ale monolityczne typy, reprezentujące i ogniskujące w sobie wolę i program wszystkich partyi, wszystkich odcieni, w sumie „*volonté réelle des Polonais vivants*“.

Może nie? Dotychczas Kościuszkobłado wychodzi w dziełach literackich. Ani Margerta „Raclawice“, ani Bodzantowicza: „Zawsze oni“, ani Lenartowicza całkiem ogółowi nieznanym wstęp do poematu „Bitwa Raclawicka“ (1859 Paryż) nie stawiają naszego Win kelryda na mocniejszy od spiżu monument. Nie mówię już o poznańskiej elukubracji z r. 1895 „Janka z Grzegorzewic“



Jadwiga Marcinowska.

pt: „Piaś i Kościuszk“, typowym utworze wielkopolskiej kaprawej Muzy, jak również o widowiskach lub operach z Kościuszką jako „partytą“ główną (Majeranowskiego „Kościuszk nad Sekwaną“, muzyka Dutkiewicza, Kraków 1821). Stosunkowo najlepszym jeszcze wniknięciem jest M. Ługomirskiej (?) czterotomowa powieść *niemiecka* z 1864...

Pani Marcinowska miała więc za sobą pole prawie wolne, a przed sobą społeczność, której *powinno się dać* excytującą, a ogólnie cytowaną ewokację „rycerza bez zmayı i pochyby“. No i takiego Kościuszki nie dała, dając jednak zakus twórczy bardzo szlachetny i co więcej wrózący o nowej świadomej sobie sile, jaką zyskał nasz dramat historyczny. Sama postać przedewszystkiem nie przerasta swoją palastycznością, wyrazistością i promienną teżyzną liczebnej galerii figur boczniejszych, co w dramacie bohaterskim, pobudkowym i mającym działać, jak nagle rozwinięty wspaniały sztandar nad głowami tysięcznego tłumu, winno być pierwszym, zasadniczym punktem programu twórcy. I dlatego nie wiem na razie, czy dramat ten za lat kilka, kiedy wejdzie na repertuar oswobodzonych scen polskich (*a wejść musi*), stanie się ukochaną, egzaltującą własnością ogółu, tego ogółu spijającego się dziś fuzlem berlińskim Sudermanców i kantarydowanym absyntem bulwarowych pornokradów. Nie mam najmniejszej chęci opowiadać państwu treści tego dramatu. Jestem przekonany, żebyście go potem nie czytali, blagując się wzajemnie o szczegółach, znanych wam tylko z referatu. Ale chcę zaznaczyć, że w pani Marcinowskiej przedewszystkiem trzeba uznać poetki, *autentyczną autochtoniczność* która wybija się na każdej karcie w silnych akordach przedewszystkiem pięknego i czystego krynicowo języka. Znać w niej dalej głęboki i najrzeczywistszy kult przepożęznego ideału „*la terre et les morts*“, który obecnie kliki polityczne tak plugawia, wiążąc go z obroną interesów burżuazji miejskiej i „wiejskiej“ (nie cofam tego: wiejskiej). Pani Jadwiga Marcinowska stoi mocno swym talentem na glebie polskiej, a w jej pejzażowych notacyach tak zdawałoby się ukróconych (i tylko niejako telegrafowanych w dramacie)—czuć ukochanie tej ziemi, tej zardzawionej od krwi chłopskiej i zakopanych kos ziemi. Mocnym ścięciem szyty jest gobelin Kościuszkowski pani Marcinowskiej, ale płowy kolor zbyt jeszcze w nim przeważa. *A akcyi i figur za wiele*. Moja, zarozumiałego skromnisią rada jest już więcej nie ryzykować tak wy sztucznionych ekspozycyi i unikać batalistyczności na scenie, obozowisk, bitw, kanonad. Czytając dziś *jeszcze(!)* nie grywane dramaty p. Marcinowskiej „Wyśniony“, „Kościuszkę“ ma się głębokie przekonanie, że w tej

autorce zyskuje i dramat polski i poezya, męzka, plenna, rozbudzająca ducha poezya. Istotnie radować mi się przychodzi i to bardzo, że dramat historyczny dostaje się powoli w ręce *myślących polskich* twórców poetów, wydobywając się z pod monopolu *warszawskiego* rymarstwa. Czasy Apuchtina minęły i mijają, a polskie dzieje niepotrzebują już być przemycanymi w karmelkowych papierkach dla kształcącej się młodzieży. Choć Sardou jeszcze i żyje i płodzi, dramat historyczny w poezyi francuzkiej nie reprezentują jego opery i operetki bez muzyki, ale Verhaerena: „Filip“, Cladela „L'arbre“ Moreasa: „Ajax“, Peladana: „Semiramis“ i „Edyp i Sfinx“ itp. Pani Marcinowska nie ma w sobie najmniejszej domieszki: Sardou, ani też nie z elementów holenderskiego żydowiny z elementu Catulle Mendesa, piszącego dla ortugalskiej żydówki Sary czterokrotnie fajerwerki z życia... mezcennic katolickich... To jest jej czcigodne „kalektwo“. To jej oczywiście koleje życiowe nieco utrudni. Ale tem nie należy się zrażać. Dopóki „z nieba nie popatrzy“ na nasze życie Kościuszko i dopóki cały naród nie przekona się, że jednego mu tylko „potrzeba“, dopóty życie, tak każdego z nas z osobna, jak i wszystkich razem, będzie tylko szminkowana po europejsku katorgą, czyścemc potępieńców, w którym niektórzy mają czas nawet... na książkę pisanie, a niektórzy na zachęcające do dalszego pisanie referaty...

NA SKALNEM PODHALU.
Kazimierza Tetmajera.
Książnica Tom 10.

Ciąg dalszy czysto prymitywnych obrazów, wskrzeszających junaćkie Podhale. Wysoce artystyczna w pomyśle, w technice swobodnej bezkunsztowna

rekonstrukcyja świata, którego w tej okazałości nigdy nie było.. Nieskalana skalność języka, który w swej uwierzytelnionej autentyczności staje się tak dokumentarycznym i zakwestyonowanemu nie podległym, jak Pismo Święte. Bezpośredniość językowa czyni z tych fragmentów wielkiego eposu: Tatrzy — folklorowe, Sezamy. Do głosu przychodzi ludzie z epoki: drzewiej, typy skroś zoologiczne, żyjące życiem dżungli halnych, rysie, żbiki, wilki,



Kazimierz Tetmajer.

lis, capy, niedźwiedzie, aczkolwiek obdarzone t. zw. duszą nieśmiertelną, atoli nie robiące z niej, jak i z mózgu żadnego użytku. Autorowi to upraszcza, ujednostajnia zadanie — nam daje dużo wytcnienia politeraturze problemów, zaciekań, analiz, wiwisekcyi, konstrukcyi filozoficznych. Poprośtu fauna ludzka z Podhala w najpyszniejszych egzemplarzach przez artystę produkowana. Z dawnych seryi: zbój Jasia, Jędrzej, halny gazda, pijaczyna Łojas, Józek Smaś dostają nowych towarzyszy nieśmiertelności: Jośka Walcaka, Maćka Scyrbularza, boską Rosickę, biedną gdowną Sobuškę (jakiegoś jakby niewieściego króla Lira z Podhala) i innych. Wszystko to analogon ludowy do dawnego, wybujałego indywidualizmu szlacheckiego; ta sama okrutna żywotność i prężna żyźność, jak u orłów, sępów, sokołów; w zemście zapamiętałość, w jurności miękkość, w szale śpiewność, dla śmierci obojętność. Wspaniała jest ta

podhalańska Tebaida Tetmajera, w którą ucieka przed banalnościami życia i przed samym sobą: faunem sfatygowanym najtańszymi nereidami... w tych czasach, kiedy to najpiękniejsze jabłka liżą sobie wieprze. Świat ozonowy, w którym i ślepowy Homer i krótkowidz Kipling czuliby się doskonale. Niezmatowane fakty, niezretuszowane namiętności. Miłość tu gryzie i w głos dyszy z emocyi, nienawiść błędnie dopiero na widok łachy krwi. Srogi romantyzm starych Siouxów panuje niepodzielnie; migają tomahawki w powietrzu, zimowe panny zawodzą zwodny krąg w białej ośnieżonej chaszczy, zły syn Kainita wypędza matkę w noc mroźną. I ta przypowieść jest archidzielem, nosi tytuł: „Jakie jest serce matki“; ma powagę drzeworytów o biblijnej treści, zwięzłość i umiarkowanie w gwarownictwie i jest skomponowaną, podczas gdy inne są tylko *opowiadane*... nawet tak świetne, jak dziki juhas...

W sumie książeczka bardzo czytelną. Sabała stary zaciera w niebie kościane ręce, że tak mu się plejada jego wydarzyła. Egzotyzm, który Francuzi mają w Kobińcinie, na Madagaskarze, w Tonkinie, Angliacy w swoich koloniach, my mamy w Tetmajerowym Podhalu. Sensacye mniej więcej te same. I trzeba dodać, że to jest *ipsissimus* Tetmajer, ani Przerwa, ani rewolucjonista, ani symbolista, ani dekadent (skąd? gdzie? kiedy?), ani groszkowy cynik, ani flaneur asfaltowy, ani ten „literat“ z Warszawy, jak wszystkie literaty absolutnie nieciekawy, ale *ipsissimus* Tetmajer, starszy panicz z Ludzimia, wtedy, gdy go „stara matura ogarnia“... Tetys macierz do siebie przyciąga i kiedy „parobskie na ceprów puściwszy wiatry“ ostaje sam ze swoim Podhalem, którego jest dziedzicznym władcą, paladynem... on, Biedny Kazimierz bez Ziemi...

Adolf Nowaczyński.

„Jeśliś nad samym sobą...“

Jeśliś nad samym sobą jał rozwodzić żale,
Jeżeli lzy nad sobą oczy ci zaćmiły,
Rzuć wszystko i do walki nie rwij się zuchwale,
Boś wszelką zdolność czynu złożył do mogiły.

* * *

A jednak był czas, kiedy w duszy mej świątyni,
Tam gdzie nikt nie ma wstępu — owo święte świątych,
Które Bóg tylko czasem przybytkiem swym czyni,
Brzmiało harmonią dźwięków, prosto z nieba wziętych,
Brzmiało hymnem potężnym miłości wszechbratniej.
A dziś? Albo mdłej skargi wyrzywa się zgrzytem,
Lub piosnką — tej ze wszystkich miłości ostatniej:
Miłości dwojga! Był czas... Z rozkoszy zachwytem
W upojeniu bez granic i dusza i ciało
Najkrwawsze inkwizycyi zniosłyby męczeństwa,
Gdyby to im jedynie możność było dano,
Chociaż pyłkiem w postępie zginąć człowieczeństwa.

HA-GAR.

Stara bóżnica.

Przed obrazem Teodora Ziomka.

Stońce zaszło... Zaulki zmierzch otulił szary,
Ciężarny oparami, rosząc ziemi łono,
Zaledwie szczyt świątyni majaczy czerwono,
Jakby tunę nań kładły dalekie pożary...

Jak w érenicach szaleńca, co cierpiał bez miary,
Czas jakiś gniew przeblyska potęgą tłumioną,
Tak w szkietkach górnych okien bóżnicy przastarej
Zgasłe zorze odblaskiem czarodziejskim płoną...

Sen zlekka musnął ziemię skrzydeł swoich końcem —
Aniol nocy napelnił ciszą pól przestrzenie,
Na okół chmurno, mroczno, otchłanie milczenie...

Tylko szkietka bóżnicy, skrząc się barw tysiącem,
Smują jeszcze przeszłości legendę tęczową,
Jakby ostatnie dziejów w mrok rzucając słowo...

W. DZIERŻANOWSKI.



Jeden z Kraszewskich.

KARTKA Z DZIEJÓW W. KS.
POZNAŃSKIEGO (1828-1870).

Przeglądając w sierpniu 1906 r. w Archiwum tajnym pruskim w Berlinie niektóre akta, dotyczące stosunków polskich z epoki pierwszego piętnastolecia po utworzeniu z mocy traktatu wiedeńskiego W. Ks. Poznańskiego, spotkałem się z relacją poufną, złożoną w dniu 8 września 1828 r. przez Nadprezydenta prowincyi, Baumanna, ministrowi v. Schukmann, a przez tegoż zakomunikowaną królowi Fryderykowi Wilhelmowi IV o patryotach polskich, którzy przezuwając niebezpieczeństwo germanizacyi, słowem i czynem budzili podówczas ducha oporności między ludnością wielkopolską (R. 77. XVII. Vol V z lat 1825—1828).

Między innymi, w relacyi Baumanna, który w początkach 1825 r., po ustąpieniu Zerboniego, jako były prezes rejencyi w Prusach Południowych przed jenajskim pogromem, ze stosunkami polskimi względnie dobrze był obeznanym, został prezesem naczelnym W. Księstwa, znalazłem następującą charakterystyczną opinię o d-rze Antonim Kraszewskim, wielkopolaninie, skoli-gaconym z zasłużonym rodem wołyńskich Kraszewskich, z których wyszedł Józef Ignacy i brat jego, Kajetan, tyle zasłużeni w literaturze ojczystej pisarze („Monografia domu Kraszewskich Jastrzębeżyków“, Poznań, 1902, str. 22).

„Młodzieniec ów — pisał o Antonim Kraszewskim Baumann — zaletami swemi i naukowem wykształceniem wyróżniający się, jest istotnem między swymi rodakami zjawiskiem (*ein Phaenomen unter seinen Landsleuten*). Szanowanym jest i podziwianym przez wszystkich. Podczas sejmu bawił czas długi w Poznaniu, i nie wątpię, że wywarł wpływ znamienity na młodzież szlachecką, a bezpośrednio i na deputowanych Landtagu. Petycyje o utrzymanie narodowości polskiej w Wielkiem Księstwie, o zachowanie języka polskiego w szko-

łach i na urzędzie, niewątpliwie są rezultatami jego wpływu (*sind Resultate seines Einflusses*). Należy on do rzędu owej przeważnej większości szlachty tej prowincyi, któraby wolała zostać polakami, aniżeli prusakami i dla których wskrzeszenie ich Ojczyzny stanowi życzenie najserdeczniejsze i najsłodsza nadzieję etc. (*denen die Wiederherstellung ihres Vaterlandes der höchste Wunsch und die süsseste Hoffnung ist*). „Przebywa on obecnie w Lipsku, jako uczony prywatny (*als Privatgelehrter*)“.

W zgodności z taką cierpkosłodką opinią prezesa Baumanna o ludziach tak sprzecznych z widokami rządu pruskiego tendencyi, znajdując się przelotne wzmianki o udziale d-ra Antoniego Kraszewskiego w pracach sejmowych W. Ks. przed rokiem 1831 i w następnych latach, zwłaszcza w pamiętnym roku 1848, gdy ogólne ruchy wolnościowe w Europie pobudziły i Wielkopolan do żywszego w sprawie ratowania narodowości działania. Wzmianki te mieszczą się w dziele Żychlińskiego o *historyi sejmów* W. Ks. Poznańskiego (r. 1867) i w nowszych pracach o Poznańskim d-ra Kazimierza Rakowskiego, lecz jako potoczne, nie odtwarzają nam wyjątkowo zasłużonej postaci Antoniego Kraszewskiego,



Dr. Antoni Kraszewski.

godnej zając zaszczytne miejsce w szeregu takich osobistości, jak d-r Marcinkowski, Szuman, Niegolewski, Kantak, którym narodowość polska w prastarej Piastów dzielnicy swą oporność i wytrzymalność zawdzięcza. Otrzymawszy bliższe informacye o życiu i działalności Antoniego Kraszewskiego od potomków po bracie jego, do dziś dnia pożytecznie wśród obcych i swoich pracujących, podaję tu w treściwym zarysie materiały do wyczerpującej przyszłych biografów o Kraszewskim monografii, stanowiącej przyczynę do obrazu dzie-

jów W. Ks. Poznańskiego z doby nowszej.

* * *

Dr. Feliks Antoni Kraszewski urodził się dnia 30 maja 1797 roku w Tarkowie, na Kujawach pruskich, w powiecie inowrocławskim, z Jana Kraszewskiego prezesa trybunału bydgoskiego i Anny z Poleskich, dzieciów tychże dóbr. Nauki pobierał najpierw w Pakości u O.O. Reformatorów, a następnie w Liceum warszawskiem. Uniwersytet ukończył w Warszawie, poczem studyował w Berlinie, w Halli i Gettyndze, gdzie uzyskał stopień doktora filozofii z prawem do docentury. O żywym udziale Kraszewskiego w działalności korporacyi studenckich w Berlinie zamieściłem szczegółowe wyjaśnienie w szkicu historycznym „*Panta Koina*“, ogłoszonym w roku bieżącym w „Bibliotece Warszawskiej“ (Styczeń i Luty). Dzięki jego to usiłowaniam studenci polacy utworzyli w Berlinie odrębny związek literacko-towarzystki, uprawiający naukę i szlachetne rozrywki umysłowe. Już wówczas dał się Kraszewski poznać otoczeniu ze stanowczości charakteru i z pewnego odcienia autokratyzmu, nie znoszącego opozycyi w sprawach zasadniczych stowarzyszenia studenckiego.

Po ukończeniu uniwersyteckich studyów, Kraszewski, mając zamiłowanie do nauk, pragnął się im w zupełności poświęcić i osiąść w Gettyndze, lecz potrzeba ratowania majątku po śmierci ojca, zagniła go do powrotu do Tarkowa i do poświęcenia się gospodarstwu rolnemu. Nie było to łatwem dla człowieka cichej pracy książkowej zadaniem, lecz silna wola dokonała swego i, niebawem, pracą i energią doprowadził Kraszewski Tarkowo do wysokiej i wzorowej kultury.

Obywatelskie zadania powołały Kraszewskiego na obszerniejsze pole pracy. Jako znany z wymowy i siły przekonywującej patriota, pierwszy uderzył w dzwon trwogi, nawołując obywateli do działania. On to podał myśl założenia Towarzystwa naukowej pomocy; już bowiem w r. 1829 wezwał do narad z ks. Radziwiłłem i arcybiskupem Wolickim obywateli całego Księstwa do Poznania, by utworzyć owo Towarzystwo.

Zjazd w sali arcybiskupiego pałacu był liczny. Projekt i jego statuta przyjęto jednogłośnie. Na propozycję Kraszewskiego wybrano komitet dla ponownego i szczegółowego opracowania statutu. Spór o utrzymanie jednego w nim artykułu, na którego opuszczenie nastawał komitet, spowodował zwłokę w urzeczywistnieniu projektu, a następnie odrzucenie go przez rząd pruski.

Dopiero dr. Marcinkowski myśl inicjatorów wprowadził w życie, jakkolwiek częściowo; Towarzystwo bowiem, według projektu Kraszewskiego, miało być: *Towarzystwem naukowo-rolniczo-przemysłowej pomocy*; nie składkowe, lecz oparte na ofiarach sześciu groszy z morgi większej, a trzech, z morgi magdeburskiej. Każdy, otrzymujący zapomogę, obowiązany był ją zwrócić.

Tymczasem prace sejmowe 1830 r. powołały Kraszewskiego, jako posła inowrocławskiego, do politycznych zajęć. Zaostrzyła się sytuacja ze śmiercią Baumana, gdy na prezesa naczelnej prowincji powołano osławionego Flottwella, nieubłaganego pogromcę wszelkich konstytucyjnych zachcianek.

Wybuch listopadowy spowodził represję. Poznań ogłoszono za miasto w stanie wojennym, ustanowiono kordon graniczny. Mimo to młodzież poznańska ruszyła tłumnie do Królestwa. Kraszewski wstąpił do szeregów powstańczych i odbył kampanię pod Giełgudem, w siódmym pułku liniowym piechoty. Wzięty do niewoli, odesłany został do Prus i odsiedział w Grudziądzu i Silberbergu kilkomiesięczną karę forteczną, poczem wrócił do Tarkowa do pluga.

Rząd pruski, oceniając jego zdolności, ofiarował mu posadę w ministerium, a następnie urząd Rady szkolnego w Poznaniu, lecz Kraszewski postawił swoje warunki, które odrzucono.

Należąc do Ziemstwa (*Land-schafty*) zachodnio-pruskiego, był obrany radcą, a później dyrektorem na okręg bydgoski, lecz po latach dwunastu urząd ten opuścił.

Na sejmy prowincjonalne i berliński kilkakrotnie był wybierany. Zasłynął z wybornej pamięci, krasomówstwa i odwagi cywilnej. Pamiętną jest mowa jego, wypowiedziana w roku 1847 na sejmie połączonym w Berlinie. Król Fryderyk Wilhelm IV odrzucił petycję o nadanie konstytucji, słowami: „*Ich leide keinen Fetzen Papier zwischen mir und meinem Volke*“ (Nie scierpię szmaty papieru między mną, a ludem moim). Odpowiedział wówczas Kraszewski w ten sposób, że z całych Niemiec od Bałtyku, aż do Renu odebrał dziękczynne listy. W mowie sejmowej był między innymi ustęp: „*Kennen sie meine Herren einen König, ohne Volk?*“ (Czy znacie Panowie króla, bez ludu?).

Słowa te przypomniał sobie król w roku 1848, udzielając audyencji deputacyi polskiej, wysłanej przez Księstwo, z prośbą o udzielenie autonomii.

Na czele owej deputacyi był arcybiskup Przyłuski, a między de-

putatami—Kraszewski. Król Fryderyk Wilhelm IV, znając już uprzednio osnowę petycji, nie odczytał jej, lecz z góry oświadczył, że autonomii nie udzieli, gdyż polacy, jakoby, do samorządu nie dorosli, a na dowód przytoczył powstanie listopadowe i rzeź galicyjską i zakończył zdaniem, że polacy nie są zdolni do bytu samoistnego.

Kraszewski śmiało słowom królewskim zaprzeczył i, mówiąc o rzezi galicyjskiej, nadmienił, że ją wywołał rząd austriacki, płacąc nawet za głowy mordowanych. Tu przerwał król:

— *Das ist nicht wahr!* (To nie prawda!).

Na to Kraszewski:

— *Die oesterreichische Regierung hat sich von diesem Vorwurf nicht gereinigt...* (Rząd austriacki nie oczyścił się z tego zarzutu).

Król:

— *Es ist nicht unsere Sitte uns zu rechtfertigen.* (Nie jest naszym zwyczajem usprawiedliwiać się).

Na to Kraszewski:

— *Majestät! Ich kenne Niemanden auf der Welt, der sich von solcher Missethat nicht zu rechtfertigen brauchte!* (Najjaśniejszy Panie! Nie znam nikogo na świecie, któryby się z takiego złoczynstwa nie miał obowiązku tłumaczyć).

Szermierka słów byłaby trwała dłużej, gdyż król lubił jędrne odpowiedzi, lecz minister Auerswald doniósł królowi, że czekają posłowie zagraniczni i wtedy król prosił arcybiskupa o przedstawienie mu deputacyi.

Przy wymieniu nazwiska d-ra Kraszewskiego, przypomniał sobie król rok 1847 i z uśmiechem rzekł:

— *O! ich kenne: König ohne Volk...*

Po takim nieprzychylnem przyjęciu deputacyi, z tem wszystkim rząd się namyślił i zdecydował się dać Księstwu autonomię częściową, powoławszy na naczelnika cywilnego d-ra Kraszewskiego, na wojennego zaś—jenerała Willisena. Lecz gdy ci przybyli do Poznania, już się stan rzeczy zmienił. Wojsko pruskie uderzyło na oddziały polskie, więzienia napełniły się jeńcami, których przy wypuszczeniu piętnowano dla poznaki kamieniem piekielnym.

Wiosna ludów przeszła... lecz nastała znowu powolna praca organizacyjna nad odbudowaniem ruin.

Na pierwszy sejm pruski W. Ks. Poznańskie wysłało szesnastu posłów; między nimi był Kraszewski.

Dziesięć lat jeszcze poświęcał się życiu publicznemu i sprawie rodaków, poczem skołatany na siłach, w roku 1858 cofnął się do zacisza prywatnego i osiadł w Dreźnie, gdzie

dnia 23 stycznia 1870 r. zakończył bez potomstwa zasłużony żywot.

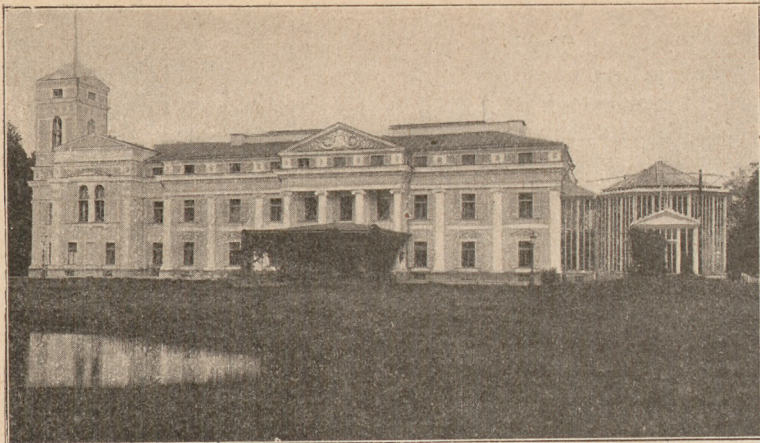
Śmierć tak dzielnego obywatela przeszła w naszym czasopiśmiennictwie bez głośniejszego echa. Wyjątek w tej mierze stanowiła *Kronika żałobna Żychlińskiego*, z której ważniejsze w niniejszym zarysie wykorzystano szczegóły, oraz artykuł d-ra Zielewicza, wydrukowany w *Pamiętniku pomocy naukowej* w Poznaniu w r. 1891.

W tymże 1891 roku polakożer-cza gazeta grudziązka *Geselliger*, przytoczyła raz mowy d-ra Antoniego Kraszewskiego z królem pruskim. Obok wielu projektów, podanych przezeń na zebraniach obywatelskich, pierwszy Kraszewski dał inicjatywę do urządzenia ochrony wiejskiej, w której starsza kobieta miała sobie powierzane co rano dzieci drobne matek, zajętych pracą w polu, które dopiero nad wieczorem, wracając do domów, zabierały ze sobą. Toż samo w niedzielę każdą zakładano konie do woza i odwożono na nim niedołączonych starców do kościoła. Na każdą gwiazdkę, rodziny parobków we wsi, ile ich było, otrzymywały podarunek (między innymi — grzebień...). Zwyczaj ten zachował się do ostatnich lat pobytu rodzeństwa Kraszewskiego w Tarkowie. Smutne okoliczności zagnały dziedziców Tarkowa do sprzedaży tego majątku krewnemu, który ową siedzibę zamienił na marki kolonizacyjne... *Straż* poznańska napiętnowała ów czyn należycie, ale nie mając informacji dokładnych, skrzywdziła pamięć następcy d-ra Antoniego Kraszewskiego. Dopiero protest energiczny w pismach publicznych i świadectwo obywateli, znających dokładnie stan rzeczy, wyświetliły sprawę i oczyściły pamięć niewinnie oskarżonego. Dziś, niestety, ze staropolskiego Tarkowa nie pozostało już nic, ani starego, ani polskiego...

Alexander Kraushar.

Kursy rolnicze we Włocławku.

Wziąwszy pod uwagę, że w kraju naszym brak jest zupełny szkół rolniczych i, że Włocławek z racji swego położenia jest najodpowiedniejszym miejscem w Królestwie dla tego rodzaju uczelni, Towarzystwo Rolnicze Okręgowe Kujawskie powzięło zamiar utworzenia w roku bieżącym przy Włocławskiej 7-io kl. Szkole Handlowej trzyletnich kursów rolniczych, poczynając od kl. V. Na kursa rolnicze przyjmowani będą kandydaci ze świadectwami z ukończenia czterech klas szkół handlowych, realnych lub filologicznych. Ponieważ ilość miejsc będzie ograniczoną, przeto pożądanem jest, ażeby osoby zainteresowane jak najwcześniej składały swoje podania na Imię Prezesa Towarzystwa Rol. Okr. Kujawskiego, pod adresem W-ny Aleksander Górski w Włocławku



Pałac w Werkach.

WERKI.

Ze wszystkich miejscowości, które przepięknym wieńcem otaczają Wilno, najbardziej niewątpliwie urocze są Werki, tonące w lesie, rzucane nad Wilią, całe w górach, wąwozach i stawach. Cudowna ta rezydencja magnacka, wyrwana na długo szereg lat z rąk polskich, znów wkrótce, jak słyhać, zmienić ma właściciela—nabywa ją podobno hr. Stadnicki z Wołynia. Stąd dużo się w tej chwili mówi o Werkach w Wilnie i poza Wilnem. Stały się one aktualne, ich przeszłość i przyszłość obchodzi dziś wielu żywo. A więc przedewszystkiem przeszłość...

Podanie głosi, że najwyższy kapłan pogańskich litwinów *krewe krewejte* nie miał prawa drugiej mieć żony; jeden z nich jednak, przechadzając się po lasach okolicznych Wilna, napotkał śliczną litwinę, w której od razu się zakochał. Wzajemnością odpłaciło mu dziewczę, bo jeszcze nie stary był i przystojny. Owocem tego związku był syn. Co tu począć z dzieckiem? Jak je wychować? Jakby nadal ukryć wzbroniony związek, za który, według praw, najsrozsze czekały ich kary. Na powiększenie kłopotu panujący książę zjechał z Trok na łowy z licznym orszakiem.

Krewe-krewejte wpadł na taki oto pomysł: kładzie dziecko do kołyski, przystraja ją w kwiaty i świecidełka i zawiesza wśród gęstych gałęzi wysokiego drzewa, na szczycie góry, tam właśnie, gdzie dziś stoi pałac werkowski, a gdzie wtedy było siedlisko turów i żubrów. Wiedział bowiem, że w owo miejsce książę najpewniej uda się na łowy.

Nie omylił się arcykapłan, gdyż kunigas rzeczywiście podążył w tę stronę, ale zamiast spłoszonych przez troskliwego ojca żubrów ujrzał w gę-

stwinie coś błyszczącego. Zdumiony książę kazał zdjąć kolebkę z drzewa, a biorąc to za cudowne zjawisko, wezwał krewe-krewejte, aby mu wytłomaczył znaczenie dziwnego wypadku. Wówczas krewe-krewejte objaśnił, że bogowie zsyłają wcześniej to dziecię, aby książę je wychował, jako następcę arcykapłana. Uradowany książę polecił wychowanie dziecka krewe-krewejcie, a na pamiątkę całego wypadku miejscowość przezwano Werki od wyrazu litewskiego Werkt—płacz, gdyż dziecko w kolebce płakało. Ten cudownie znaleziony chłopczyk był później głós-



Widok z tarasu.

nym arcykapłanem Lizdejka.

Historyczne dzieje Werek rozpoczynają się od r. 1387, w którym Władysław Jagiello przeznaczył je na mieszkanie biskupom wileńskim. Pamiętne one są bitwą Krzyżaków i Witolda z jednej strony a Skirgiełła z drugiej w r. 1390. Walka toczyła się na całej przestrzeni między górą Szeszkinia (pod samem Wilnem) a Werkami. Pole zasały trupy, w końcu Skirgiełło zmuszony był ustąpić. Pod Werkami również książę Dołhorukij i Chowański w r. 1659 wygrali bitwę i wzięli do niewoli hetmana polnego litewskiego Gosiewskiego.

W pałacu biskupim w Werkach umarł w r. 1569 dnia 5 lipca Wojciech Radziwiłł, biskup, Jałmużnikiem zwany, a także w 1659 r. Abraham Wojna, biskup wileński.

Władysław IV zwiedzał Werki w latach 1633 i 1639, solennie podejmowany przez biskupa Wojnę. Pamiętny opis Werek i pobytu króla przez znakomitego poetę Sarbiewskiego.

Zamek tu został założony w XVII wieku przez Konstantego Brzostowskiego biskupa wileńskiego. W r. 1770 Werki stały się prywatną własnością ks. Massalskiego, biskupa wileńskiego, który w zamian oddał kapitule dobra swe Czerwony Dwór. Biskup Massalski chciał uczynić ordynację dla Karola Józefa ks. de Ligne, za którym była jedna z jego krewnych i w tym celu wznosił wspaniałe budowy według planów architekta Wawrzyńca Gucewicza. Założył piękny ogród, staw etc. Tymczasem Massalski zmarł na szubienicy w r. 1794 w Warszawie, a dziedziczący po nim Potocki sprzedał Werki.

Nabył je Jasieński, b. marszałek powiatu Wileńskiego, ale nie mógł utrzymać pałacu w dawnej świetności. Część pałacu wynajmował.

Przez dwa lata od r. 1821 była tu słynna pensja żeńska p. Kozłowskiej. Wreszcie w latach czterdziestych nabył je ks. Ludwik Wilgenstejn, który z gruntu zmienił postać Werek. Zniósł główny pałac, a na tym miejscu park założył. Natomiast pałac skrzydłowy przebudował i ozdobił przez dobudowanie wieżyczki i ogrodu zimowego.

Piękniejsze części Werek z tych czasów znane są z litografii Wileczyńskiego. Od tej pory Werki nie wiele się zmieniły, kultura ich gospodarza upadła tylko, kupił je bowiem urzędnik rosyjski p. Czepielewski, były gubernator, dla którego nabytek ów był interesem finansowym tylko. Dziś przygodny właściciel znów pragnie wyzbyć się dóbr, które mu widać ciążyą... i oto Werki prawdopodobnie dostaną się napowrót w ręce, które w nich cenić będą ich piękno i ich tradycję.

Wilno.

W. J. Ł.



O tańcu.

Monolog wykwintnego starca.

Podano wreszcie kawę.

Przyłożywszy usta do filiżanki stary książę Władysław, widocznie podniecony, uczynił się nagle dziwnie wymownym i, zabrawszy głos w sprawie, która nas przez cały czas obiadu zajmowała, nie dopuścił nikogo do słowa.

Nikt mu zresztą nie myślał przerywać.

— Więc powiadacie, że na opiece władz ma zostać tylko balet? Wszystko inne pójść ma w dzierzawę? w antre-prizę?

Ktoś głową kiwnął potakująco.

Inny szepnął:

— Gazety tak mówią...

Książę Władysław ciągnął:

— Nie warto sobie z baletem robić zachodu. Taniec to dziś już sztuka, która położyła się do grobu.

Nie żyje...

Jedyna pewno z kochanek Apolina boskiego, której ludzkość nie umiała utrzymać.

Sztuka piękna, która w opiece miała kult ciała.

Dziś piękno zastępuje się malowniczością, plastyką dekoracją. Kult ciała straciły nawet kobiety, których to było racyą i siłą. Taniec zastąpiony w społecznym życiu przez modę. Krawiec tyle dziś może, co i Apollo...

Ach, kobiety!...

Żał mi tańca, bo go odczuwam i rozumiem, nie tak jak wy, co chodzicie na balet, aby się podniecać jedynie.

Taine — to był głęboki pan. Jego Graindorge, doktor filozofii i hurtowny handlarz słoniny, milioner zresztą, nasycił się tańcem jakiejś znakomitej baleryny hiszpańskiej, prawdziwej artystki, całuje ją z szacunkiem w rękę i odprowadza do karety.

A tańczyła — u niego i dla niego.

Śmiecie się, proszę.

Wy uważalibyście, że właśnie to chwila najstosowniejsza, aby ją, rozgrzaną tańcem, zatrzymać?!...

I aby ją nagrodzić za jej artyzm lepiej, bo — pocałunkiem w poblade usta?!...

Ot, nie rozumiecie tańca...

Nie dziwnego, skoro nie żyje on już...

Krótkie miał życie...

Cywilizacja, gdy przeniosła się pod chłodne nieba północniejsze, gdy opuściła brzegi morza Śródziemnego, gdzie ciała tyle jedynie dość było okrywać i ukrywać, ile dla zadostyczynienia uczuciom wstydu przystawało — poczęła kuć pierwsze gwoździe do trumny dla Tańca...

Mistycyzm wieków ciemnych, gdzie jedynie kaganek rzymski rozświetlał mroki, po zgaszonej kulturze starożytnej, zaścielałającej ziemię, odrodzić tańca nie mógł...

Była to jedyna tak na wskroś pogańska muza, że kościół rzymski, który ochrzcił wszystkie inne, tę pozostawił przed przysionkiem, gdzie stało naczynie ze święconą wodą?...



Taniec z płaszczem w balecie „Tajemnica Myrto“.

Może tak, bo oto taniec wskrzesił renesans, który odrodził pogaństwo, odrodził i kult ciała...

My, którzy się spostrześliśmy, że tracimy i marnujemy to najwyższe arcydzieło, jakim jest ludzkie ciało, wpadliśmy, z właściwą wiekowi naszemu zarozumiałością, na fałszywą drogę sportów. Zamiast poprawić kształty ciała według ideałów Fidyasa, czynimy eksperymenty tetralogiczne: fabrykujemy potwory...

Próbujemy zresztą i uczynić coś z tańca.

I wtedy puszcza prąd elektryczny przez nerwy trupa, a trup kurczy muskuły na chwilę, jak żywy człowiek, a kurczy je grymasem tem szkaradniejszym, im mniej do ruchu i do życia te galvanizowane członki są zdolne.

Niczem innym te amerykańskie eksperymenty, obliczone na efekt kieszeniowy nie są...

Prócz tego, tak, powstaje coś nowego od czasu do czasu.

Jest *chachu!*...

I *cake walk!*...

I *matzhisz!*...

Szczerze to od tego, co nam baletmistrze wkładają, męcząc wyobraźnię bezpłodną, bo zimną jak lód.

Jest w tem przynajmniej namiętność.

Ludzka, ba, zwierzęca, niska, myślowa namiętność.

To właśnie, czego wy szukacie, nie znajdując zresztą znaną, w tańcu i w ogóle w balecie...

Ale to tylko confortatirum dla tych, co wydali kapitał swej młodości po głupiemu. Nie sztuka, nie muza, nie osobny kształt nieśmiertelnego piękna.

Bo taniec jest w grobie.

Ludzkość straciła go bezpowrotnie. I ci, co po nas przyjdą, nawet pewno nie będą już zdolni tak, jak ja i dziecięciu może innych, nawet po nim tęsknić.

...Tu osunął się na fotel i, zadzwoniwszy na służbę, rzekł:

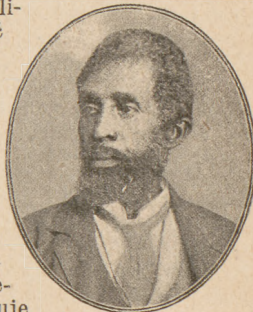
— Jeszcze kawy.

Wiko.

Prezydent rzeczypospolitej murzyńskiej.

Jest w Afryce zachodniej rzeczpospolita zamieszkała przez murzynów. Powstała w pierwszej połowie XIX wieku, dzięki prądom humanitarnym, które panowały w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej. Wy-

zwolić nieszczęśliwych negrów, dać im ojczyznę — oto hasło, które się naówczas rozlegało. Małkiem państewku nadano symboliczne miano Liberyi. Zorganizowano je na zasadach republikanizmu amerykańskiego. Obecnie zajmuje Liberya 85,350 klm. kwadr. Z ludnością



Artur Barclay.

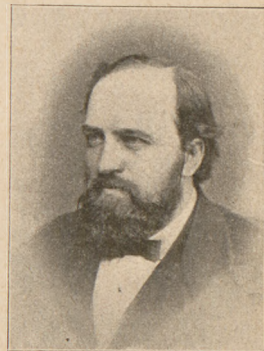
około dwóch milionów. Murzyni liberyjscy wyznają religię chrześcijańską i mówią po angielsku. Niedawno dokonano obioru prezydenta. Został nim po raz drugi Artur Barclay, człowiek dzielny, wykształcony i cieszący się wielkim zaufaniem wśród swych współobywateli.

m.

X zjazd lekarzy polskich.

W dniach 22 do 25 lipca odbędzie się we Lwowie X zjazd lekarzy i przyrodników polskich ze wszystkich trzech zaborów. Zjazd zapowiada się niezwykle imponująco: do ostatnich dni czerwca zgłoszono z górą 500 wykładów z różnych dziedzin nauk przyrodniczych i lekarskich, co daje miarę zainteresowania się nim ogółu naszych lekarzy i przyrodników. Po za pracami i obradami zjazdowemi uczestnicy odbędą szereg wycieczek, jak: do Dublan, dla poznania urządzeń tamtejszych Akademii rolniczej, do Woli dobrostańskiej dla zobaczenia lwowskiego zakładu wodociągów, oraz do najważniejszych naszych zdrojowisk w Galicyi: Lubienia, Truskawca, Rymanowa, Krynicy, Iwonicza i Szczawnicy. Skorzystają też ze sposobności, aby poznać tak mało niestety zwiedzane, a tak wspaniałe resztki zamku Sobieskich w Olesku (miejsce urodzenia Jana III) i wybornie zachowany, pełen cennych zbiorów historycznych, zamek w Podhorcach (obydwa o kilka mil drogi od Lwowa). Nakoniec zwidzą uczestnicy zjazdu Zakopane i odbędą czarującą wycieczkę Dunajcem przez Pieniny.

W chwili, gdy X zjazd lekarski zbiera się na obrady, godzi się przypomnieć osobę tego, który przed laty dał impuls do pierwszego zjazdu i rzucił podwaliny pod dalsze, czyniąc z nich stałą, pery-



Ś. p. Adrian Baraniecki, inicjator zjazdu lekarzy i przyrodników we Lwowie.

dycznie zbierającą się instytucję, tak chlubnie już dziś zapisaną w dziejach nauki polskiej. Człowiekiem tym był niezapomniany dr. Adryan Baraniecki.

Czterdzieści lat upłyne niedługo od chwili, jak twórca pierwszego muzeum przemysłowego w naszym kraju i pierwszej wyższej szkoły dla kobiet, rzucił myśl, którą niebawem w czyn wprowadził, myśl pierwszego zjazdu lekarzy i przyrodników polskich i pierwszej wystawy przyrodniczo-lekarskiej. Był to jeden z najcięższych momentów w życiu narodu: lata najbliższe po pogromie r. 1864. Adryan Baraniecki należał do tych wybranych duchów, które pierwsze podjęły myśl odbudowy gmachu, zburzonego w katastrofie wojennej, odbudowy od samych podstaw, cierpliwej, mozolnej, rozłożonej na długie lata. Sam wyrzucony w r. 1863 z pierwotnej swej kolei, znalazł w sobie ten hart niezłomny do pracy, ten święty zapal twórczy, który miał odtąd całemu szeregowi pokoleń zastąpić dotychczasowe gwałtowne porywy ku odrodzeniu ojczyzny.

Gdy przystępował do organizacji naukowej na niwie lekarskiej i przyrodniczej, żywił obawy, czy w rozbitym społeczeństwie znajdzie myśl jego dostateczny oddźwięk. Dziś jego wielki duch widzi, że starania jego życia nie poszły na marne: idea, która towarzyszyła im, rozwinęła się pomyślnie i łączy od wielu lat przyrodników i lekarzy polskich w pracy dla dobra ludzkości i narodu, którego wiernymi są synami. Świat lekarski polski wspomina dziś z wdzięcznością i dumą imię Adryana Baranieckiego, a naród postawił go w rzędzie tych wielkich lekarzy-obywateli, którzy, jak Marcinkowski, Dietl, Chałubiński, Żuliński, Jordan, przyswiecać będą długo wciąż nowym pokoleniom pracowników przykładem prawdziwej potęgi ducha.

Lwów.

W t.



Królowa Siamska.



Małżonka Chulalongkorna władcy Siamu, który obecnie odbywa podróż po Europie.



Główna ulica w Charbinie.

Polacy w Mandzuryi.

Kolonia polska w Charbinie, licząca obecnie przeszło 2,000 osób, jest najliczniejsza ze wszystkich kolonii polskich na Dalekiem Wschodzie. Polacy tutejsi, przeważnie urzędnicy miejscowej kolei Chińsko-Wschodniej, zawiązali oddzielną sekcję polską przy towarzystwie muzykalno-dramatyczno-literackim. Towarzystwo to posiada własny klub i salę teatralną, gdzie odbywają się przedstawienia i w języku polskim. Dotychczas amatorzy nasi grali „List rekomendowany”, „Consilium fakultatis” i „Grube ryby”. Zawsze z wielkim powodzeniem.

Polacy charbińscy dawno już noszą się z myślą założenia własnego towarzystwa pod nazwą „Gospoda polska”. Starania w tym kierunku już poczyniono i wkrótce „Gospoda” rozpocznie swą działalność. Nowa ta instytucja ma wszelkie widoki powodzenia. Należy wyrazić tylko życzenie, by zarząd „Gospody” potrafił uczynić z niej prawdziwie polski dom, gdzie każdy z członków znalazłby miłą rozrywkę w gronie zamieszkałych w tym dalekim kraju rodaków.

Miejscowej kolonii katolickiej daje się odczuwać bardzo brak kościoła, ponieważ kościół, który zaczęto budować w roku ubiegłym z powodu braku środków nie jest skończony dotychczas, kaplica zaś, w której tymczasem odprawiają się nabożeństwa, jest bardzo szczupła i niewygodna. Działalność komitetu budowy kościoła jest dość ospała, do czego przyczynia się po części rozdźwięk, panujący między pewną grupą przedstawicieli kolonii...

Charbin.

T. S.

Konkurs filozoficzny.

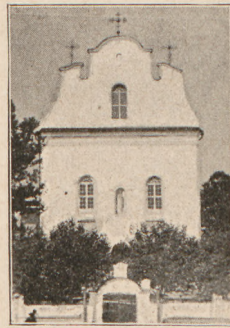
Dr. Władysław Weryho, wytrwały redaktor „Przeglądu Filozoficznego”, zachęcony powodzeniem dwóch konkursów, ogłoszonych niedawno, zorganizował nowy konkurs, na temat: „Wyjaśnienie, a opis”. Stanowi to niejako nową stronę tematu „O przyczynowości”, za który nagrodę otrzymał dr. Jan Łukasiewicz. Nagroda i tym razem wynosi 500 rb. Złożyli się na nią protektorowie nauki: prof. Baranowski, baron Kronenberg, p. St. Leszczyński, p. Halpern i inicjator konkursu. Świadczy to o odrodzeniu się filozofii, której niedawno, niby

nad grobem, śpiewano *requiescat*. Była ona, jak się pokazuje, żywotniejszą, niż się jej grabarzom zdawało. Obecnie ruch filozoficzny w całej Europie jest nader ożywiony, a i u nas odbywa się poważna praca na tem polu.

Y. S.



Na kresach.



Kościół w Dzisnie.

Dzisiaj, miasto powiatowe na pograniczu gub. Witebskiej i Wileńskiej, posiada luźną kolonię polską. Działalność jednak kulturalna datuje się tu od czasu przyjazdu obecnego dziekana ks. Jerzego Moczulskiego. Dzięki jego staraniom i zabiegom powstało. Tow. Dobroczynności z szerokim

zakresem prac ogólnooświatowych i filantropijnych.

Na ogólnym zebraniu nowo zatwierdzonego Tow. powzięto projekty założenia pod egidą Tow. przytułku dla starców, ochron dziecicych z oddziałami dla rzemieślników, progimnazjum, wreszcie księgarni i czytelnicy polskiej. W chwili obecnej praca organizacyjna wre w całej pełni. W ochronie pobiera naukę kilkadziesiąt dzieci. Pomimo szczupłych funduszy, jakimi na razie rozporządza Tow. Dobroczynności, mamy nadzieję, że działalność jego z dnia na dzień wzrastać będzie i wydawać najlepsze owoce na tej nowej placówce kulturalnej kresów.



Ks. dziekan J. Moczulski.

Dzisna.

Ch.



Z zagadnień chwili.

Intelektualiści przed obliczem socjalistów.

Interesujący, doniosły pod pewnym względem, a przede wszystkim całkowicie bodajże nowy pomysł miał francuski publicysta, R. de Marmande, współpracownik „La Revue”. Ułożył oto ankietę, mającą na celu rozjaśnienie poglądów socjalistycznych na stosunek dzisiejszego ruchu socjalnego do t. zw. intelektualistów i na położenie tych intelektualistów i przypuszczalne w przyszłym społeczeństwie, kolektywistycznym czy komunistycznym.

Ale naprzód słówko o terminie: intelektualiści. To ludzie profesyjnie wolnych. A więc artyści, uczeni, literaci, dziennikarze. Może jeszcze i adwokaci, może i doktorzy; może i wszyscy ci, którzy znajdują się pomiędzy kapitalistami a robotnikami, pomiędzy burżuazją a proletaryatem? Termin wymaga ustalenia. Dowiodła tego sama właśnie ankieta de Marmande'a, bo uczestnicy jej często okazywali zaambarasowanie w obec różnych fachów, które same, z góry, samorzutnie, jakoś się nie kwalifikowały do intelektualistów.

My, trzymamy się rzeczy wyraźnych. Intelektualiści to artyści, to literaci, to uczeni.

I. Czy pan sądzisz, iż intelektualiści mają interes swój bezpośredni w sympatyzowaniu z akcją robotniczą, przygotowującą, na gruncie ekonomicznym, całkowitą przemianę ustroju kapitalistycznego?

II. Czy uważa pan za możliwe, pożądane, i w jakiej formie, udział intelektualistów w akcji robotniczej?

III. Jaka będzie sytuacja ich w zreformowanym społeczeństwie, według pana.

IV. I czy pewne kategorie intelektualistów znikną wtedy? I jakie?

Należy naprzód powiedzieć, że publicysta francuski przyłożył tu lupę do tego miejsca socjalistycznych teorii, które zawsze przedstawiało się jako mgła ciemna. Gdyby to nie było w społeczeństwie nie więcej oprócz kapitalistów i robotników?!—jakiej ze jasności i klarowności nabrały by teorie, skreślone przez Marksa. I jaką prostą i bezsporną bodaj sprawą przedstawiła by się teoria wartości—i nadwartości?! Ale oto, oprócz rąk, gra jakąś rolę i mózg w ustroju społecznym; oprócz potu ludzkiego coś znaczy i talent, i natchnienie, i geniusz; wartości „Pana

Tadeusza” nie da się wymierzyć ilością godzin pracy, zużytych na wyprodukowanie go; a Chelmońskiemu trudno kazać pracować nawet osiem godzin; wreszcie godzina konsultacji prof. Baranowskiego nie jest równa godzinie konsultacji młodego homeopaty.

Trudnościom tym, zdaje się, nigdy nie spojrzano poważnie w twarz, sądząc pewno, że to są drobiazgi.

Tem lepiej, że się zajął nimi p. de Marmande. A zajął się praktycznie. Zwrócił się bowiem do leaderów socjalizmu z zapytaniami:

— A wy co o tem myślicie?

Do leaderów. Ale nie do posłów socjalistycznych. Ci zbyt często są zwykłymi spryciarzami; a wystarczy zwykle dać im portfel ministeryalny, aby natychmiast tak mało poczuli w sobie socjalistycznego ognia, iż wykluczenie ich z partii okazuje się najnagłębszą z socjalistycznych reform. De Marmande pozostawił tych ludzi na boku, i nie bez pogardy. Zwrócił się do prawdziwych kierowników ruchu robotniczego, do przywódców syndykatów francuskich, do sekretarzy giełd pracy i federacji roboczych, a więc do robotników samych.

Jakie tam, w tych głowach, wysuniętych na czoło ruchu, nie politycznego, od którego dużo już spodziewać się we Francji trudno, ale ekonomicznego, tworzą się sądy i wyrabiają poglądy na daną sprawę?

To nas, istotnie, powinno obchodzić?

Więc zanotujmy naprzód coś wspólnego wszystkim mniej więcej odpowiedziom: to niechęć lub wprost abstynencya w wypowiedaniu się na punkty III i IV, dotyczące przyszłych stosunków w raju socjalistycznego społeczeństwa.

Jedno to z najczęstszych zapytań, jakie się marzycielom socjalizmu zadaje:

— No, dobrze, ale *jakże wtedy będzie z tem lub owem?*

Do kanonów taktyki socjalistycznej należy—nie dawać na takie pytania odpowiedzi. Niech to będzie specjalnością różnych Bellamy'ch.

Tak i teraz. Ledwie paru przedstawicieli socjalizmu ryzykuje, w formie krytyki i ironii odpowiedzieć, że nie bardzo widzi w przyszłym społeczeństwie miejsce dla — księży (pamiętajmy, iż jesteśmy we Francji), urzędników, sędziów, adwokatów, it. d. Inni trzymają się zwykłej taktyki:

— Nie jestem prorokiem! — powiada oschle jeden.

— Przyszłe społeczeństwo będzie tem, czem je uczynią przyszli

ludzie. A to się zobaczy—mówi sentencyonalnie inny.

Przechodząc do stanowiska przywódców socjalizmu do intelektualistów w społeczeństwie obecnym, rzuca się odrazu w oczy różnica krańcowa poglądów i opinii. Jedni są najbardziej wrogo usposobieni dla intelektualistów i rzucają im pogardliwe:

— To są też burżuje!

Inni są względem nich już to wyrozumiali, już to łagodni, już to przychylni.

Streszczamy tu odpowiedź A. Clerca, sekretarza giełdy pracy w Bourg:

— Nie. Intelektualiści nie mają żadnego interesu sympatyzować z nami, bo też i Związek pracy nie potrzebuje bynajmniej ich współpracownictwa. Zresztą najwyższej jakich dziesiątek intelektualistów jest z nami. Inni nam są obcy i my im. Ich potrzeby i aspiracje nie mają nic wspólnego z naszymi. Są to burżuje, którzy eksploatują pracę ludzką, podobnie jak patroni. Wyzyskują oni zjadliwie jedni naukę, inni sztuki piękne. Nie czynią przecież nic dla miłości sztuki, ich cel jedyny: zarobić dużo pieniędzy. Pochlebiają złym pasynom, a unikają przedstawienia życia w świetle rzeczywistości. Nie, nie. Oni nie mają interesu przyjść do nas. Gdyby coś podobnego przyszło im było do głowy, to utworzyli by, co najmniej już można od nich wymagać, syndykat, na podobieństwo naszych. Powinniśmy się ich strzedz, gdyby przyszli do nas, bo to zrobią tylko w tym celu, aby nas zwalczać, wzniecać wśród nas niezgody lub nas denuncyować. My zresztą, w naszych syndykatach tworzymy sobie naszych prawdziwych i własnych intelektualistów. Upadek obecnego społeczeństwa będzie także upadkiem jego intelektualistów. Pomocy od nich nie żądamy — nieprzyjmujemy jej—niedopuszczymy do niej.

Kategorycznie!..

Sporo jest jednak głosów znacznie mniej srogich.

Leon Torton, sekretarz związku pracy w Rouen, uważa, wprost przeciwnie, intelektualistów jako rzeczywisty proletaryat:

— Istnieje proletaryat intelektualny, podobnie jak proletaryat roboczy. I jeden i drugi wyzyskiwany jest przez kapitał. Uczeni, literaci, dziennikarze, artyści są niewolnikami klasy pasożytów, która krępuje ich w ich dziełach. Powinni oni tworzyć syndykaty, jak my. Nauczyciele ludowi już to zrozumieli. Robotnicy wprawdzie są uprzedzeni przeciwko intelektualistom; pochodzi to ztąd, że intelektualiści często są wyniośli w obec robotników. Ale ja osobiście nie mam tych uprzedzeń i uwa-

zam, że mogą i powinni oni przyjść do nas. Potrzebujemy ich pomocy około podniesienia poziomu inteligencji klasy robotniczej, bez czego nie wiele da się dokonać:

E. Marset, górnik, sekretarz zawodowego związku w Montceau-les-Mines jeszcze jaśniej o tem mówi:

— Wszyscy mają interes w pościeu z nami; jeżeli ten interes nie zawsze będzie materialny, to nagrodzą go inne, intensywniejsze satysfakcje. Jest pożądanem, aby intelektualiści połączyli się z nami; oni nam przyniosą wykształcenie swoje, rozwiną nasze mózgi, nauczą nas kochać dobro, piękno i prawdę i równość wszystkich ludzi. Znam takich. A my ich oswobodzimy od zależności, od poniżającej konieczności rachowania się z niskimi gustami, dzisiaj panującymi.

Trzy te odpowiedzi charakteryzują trzy kierunki w opinii przywódców ekonomicznych socjalizmu. I tu zgody, jak widzimy, niema.

Alb. Pawłowski.



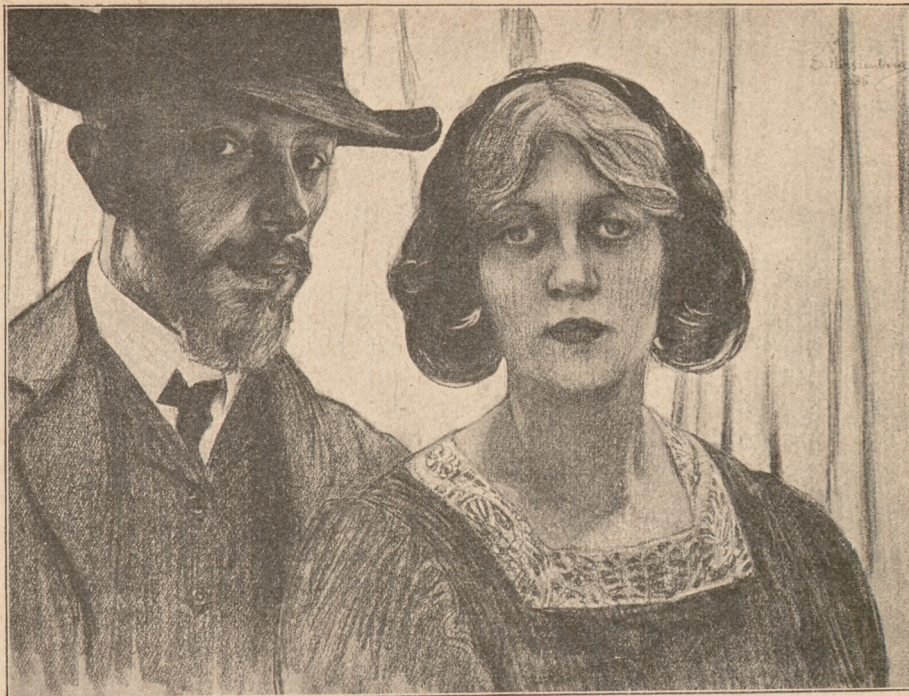
Niezwykła karyera.

Malarz krakowski dyrektorem szkoły sztuk pięknych w Palestynie.

Krakowski świat malarski zainteresowany został w ostatnich dniach niezwykłą karyerą jednego z tutejszych artystów-malarzy. Znany i ceniony twórca „Czarnego sztandaru“, p. Hirszenberg, powołany został na stanowisko dyrektora Akademii sztuk pięknych w Jerozolimie. Rzecz zdecydowała się niezmiernie szybko. Przed paru tygodniami zaledwie uczyniono artyście propozycję przeniesienia się z nad Wisły pod egzotyczne niebo biblijnego kraju i oto już jest p. Hirszenberg w drodze ku nowej swej siedzibie. Z Krakowa, który opuścił przed kilku dniami, udaje się jeszcze na letni pobyt do Bretanii, skąd w początkach września podąży przez Marsylię wprost—nad Jordan. Na dzień przed wyjazdem z Krakowa miałem sposobność mówić z artystą.

Przyznają się, że czemś równie nieoczekiwanem, jak samo ekspatryowanie się p. Hirszenberga, był dla mnie fakt istnienia w starym mieście biblijnem Akademii sztuki. W innych okolicznościach byłbym wieść o szkole nadjordańskiej przyjął z pewną rezerwą—lecz tu przez usta p. Hirszenberga przemówił szereg konkretnych i, dodajmy odrazu, wcale zajmujących szczegółów.

— Akademia—mówił p. Hirszenberg—istnieje w Jerozolimie od dwóch lat. Nazywa się dokładnie: Szkołą sztuki i sztuki stosowanej „Bezalel“. Myśl założenia jej powstała w Europie. Z inicjatywy prof. Schatza, artysty-rzeźbiarza z Sofii, a dziś profesora



Samuel Hirszenberg z żoną. (autoportret).

wspomnianej szkoły, utworzyło się przed laty stowarzyszenie międzynarodowe pod przewodnictwem prof. uniwersytetu Währburga w Berlinie, które za cel postawiło sobie krzewienie artystycznego przemysłu domowego w Palestynie. Cały kraj ma być z czasem pokryty siecią szkół przemysłu artystycznego. Częścią dla kształcenia nauczycieli dla owych szkół, częścią dla uprawiania czystej sztuki, stworzono właśnie przed dwoma laty szkołę wyższą—Akademię w Jerozolimie.

— I szkoła rozwija się? Ma uczniów?

— Rozwija się. Posiada kursy rysunków, malarstwa, rzeźby, jak wszystkie Akademie. Obok tego ma szereg warsztatów dla sztuki stosowanej, przedewszystkiem dla tkactwa orientalnego. I ma uczniów—z całego świata. Przeważnie, nie wyłącznie, są to żydzi. Z Rosyi, z Rumunii, z Buchary, z Turcyi... Jest nawet—krakowianin. Przy szkole istnieje muzeum, a raczej na razie dopiero galeria obrazów i rzeźb, nadsyłanych przez różnych artystów z Europy. Są także dary z Polski. Jest „Mesjasz“ Glicenszteina, ja ofiarowałem mojego „Żyda wiecznego tułacza“...

— I jakaż przyszłość Akademii? Jaki cel tych szkół, którym ona ma dostarczać sił nauczycielskich?

— Akademia wraz z kompleksem muzeów—tak spodziewają się inicjatorzy—stanie się z czasem punktem centralnym dla sztuki i archeologii żydowskiej. Później mają się wytworzyć inne jeszcze instytucje kulturalne wyższego rzędu: wielka biblioteka, uniwersytet. Plany są rozległe i dopiero zaczęto je realizować. Z Akademii, jak wspominałem, mogą wychodzić nie tylko nauczyciele, lecz i artyści wolni... Palestyna ze swymi pięknymi partjami górskimi dostarcza wiele cennego materiału dla

pejzażu. Uczniowie już dziś zaprawiają się na nim w czasie częstych wycieczek z profesorami. A szkoły artystycznego przemysłu będą miały, obok celów ekonomicznych, także poważne znaczenie artystyczne. Będą zużytkowywały bogate motywy miejscowe, przedewszystkiem starohebrajskie, zachowane w wykopaliskach, bądź żyjące jeszcze w stanie szczątkowym. Wykopalisk i wogóle zabytków jest zwłaszcza nie mało: wszak w Luwrze istnieje osobny, ciekawy oddział sztuki żydowskiej. Z czasem wytworzy się może styl żydowski...

W urzęchwistnieniu tych planów będzie i p. Hirszenberg współdziałał.

Na razie udaje się do Jerozolimy na przeciąg dwóch lat, później—zostanie, albo wróci napowrót do Polski. Nie umie tego teraz przewidzieć.

— Czy będzie pan w tym czasie nadsyłał swoje prace do nas?

— Nie; ale po upływie dwóch lat mam nadzieję wystąpić ze zbiorową wystawą moich prac, jakie powstaną na nowym gruncie...

Przypomnijmy jeszcze, że p. Hirszenberg jest Królewakiem: pochodzi z Łodzi. W Krakowie przebywał od paru lat, powróciwszy do kraju po dłuższym pobycie w Niemczech.

Kraków.

Clarus.

Kto nam tonącym...

Nam, którzy duszą zawiśli w niebiosach,
A którzy tułać się muszą po ziemi,
Którzy śnią życie o tęczyowych losach,
A dzień ustami witają zbladłemi
I którym dusza kona jeszcze młoda,
Kto nam tonącym rękę dzisiaj poda?...

A jest nas wielu... jęk nie zdradza skargi,
Gdy dłoń brutalna do ziemi przytłoczy—
Eó! nie wytryśnie na zbiegłe wargi,
Lecz przeogromny w smutne wejście oczy,
Żalobę wczesną dusza nosi młoda...
Kto nam tonącym rękę dzisiaj poda?...

Liljan.



Mark Twain.

Jenerał Armii Zbawienia Booth.

Dwaj honorowi doktorowie.

Starożytny uniwersytet w Oksford co roku niemal mianuje kilku znakomitych mężów doktorami honorowymi swoich fakultetów, a przyczyniając się w ten piękny sposób do ich sławy, zarazem okrywa się sam zrzęcznie sławą nową.

Tego roku zaszczyt ten dostał się czterem mężom: francuskiemu rzeźbiarzowi Rodinowi, muzykowi Saint-Saensowi, amerykańskiemu humorystyce Mark Twain'owi i głównodowodzącemu Armii Zbawienia jenerałowi Booth.

Uroczystości były wspaniałe, ale Mark Twain tak jest w Anglii popularnym, że wszystkie czczy zdawały się tylko jego widzieć, wszystkie ręce jego tylko oklaskiwać, a przy nim ledwie, że uwagę zwracano na wyniosłego, osiemdziesięcioletniego starca, który dokonał wielkiego moralnego dzieła, wystawiając olbrzymią

ai mię przeciwko Jego Potędze Najczarniejszej, Szatanowi...

Dla francuskich doktorów honorowych nie starczyło już uwagi, ani popularności.

Twain'owi studenci uczynili samorzutną owacę, — godną zresztą tego gatunku nieśmiertelności, o jaki mąż ten zabiega. Czytelnicy nasi pamiętają niezawodnie (bo jakżeby o tem byli zdolni zapomnieć), iż Mark Twain, korzystając z niedość formalnie określonego zaproszenia, zjawił się wieczoru pewnego w Białym Domu prezydenta Stanów Zjednoczonych we frakowym kostymie — białego koloru...

Studenci oksfordcy dobrze o tem pamiętali.

Ledwie się ulubiony humorysta ukazał, gdy zaczęto go pytać powszechnym krzykiem:

— A gdzie masz swój biały garnitur?

Twain uśmiechnął się i odpowiedział:

— Używam go do wycierania stalówek!...

Może tu na miejscu będzie zabawienie czytelników paru ostatnimi dowcipami popularnego pisarza:

Oto jeden z nich: W dniu przybycia Twaine'a do Anglii zdarzyła się sensacyjna i śmiała kradzież złotego pucharu, przeznaczanego na nagrodę sportową. Pisma brukowe, mające zwyczaj wypisywania grubemi literami na czele numeru sensacyjnych wiadomości dnia, wyszły w ten wieczór z następującem zawiadomieniem:

Kradzież pucharu w Ascot. — Przybycie Marka Twain'a do Anglii.

Nazajutrz, na obiedzie publicznym, na cześć jego wydanym, Mark Twain rozpoczął swoją mowę, pokazując na te dzienniki, od słów:

— Zacni dżentelmenowie, daję wam moje uroczyste słowo, że ja tego pucharu nie ukradłem...

Druga anegdota Marka Twain'a: Do pewnego lekarza, sfatygowanego dzienną pracą, dzwoni telefon.

— Powiedz, że mnie niema w domu — daje lekarz polecenie swej żonie. Żona telefonuje co jej kazano:

— Męża niema w domu.

Głos w telefonie błaga:

— Naszemu synkowi zrobiło się niedobrze. Takie a takie objawy. Może pani, jako żona lekarza i jako matka, wiedziałaby co na to poradzić?

Żona zwraca się do męża:

— Wiesz, duszko, tyle to mógłbyś zrobić...

— Powiedz, niech dadzą bachorowi trzy krople mięty w kieliszku wody.

Żona telefonuje receptę.

— Dziękujemy, dziękujemy — słyszy.

W pięć minut potem — telefon:

— To jeszcze my, pani doktorowo. Przepraszamy bardzo. Lekarstwo już jest gotowe. Ale, wprzód, dla pewności, chcieliśmy się jeszcze łaskawej pani zapytać o jedną rzecz?...

— Proszę bardzo.

— Czy ten pan, który jest przy pani wtedy, kiedy męża pani niema w domu, to także lekarz?...

* *

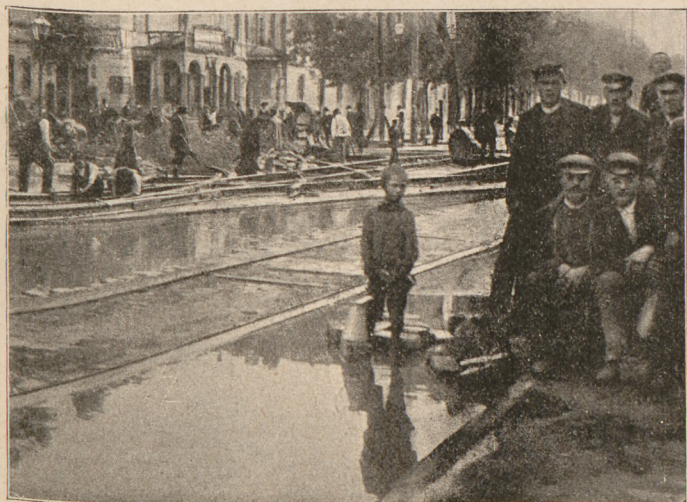
Armia Zbawienia posiada swoje kolumny w 54 krajach i koloniach, prowadzą swe boje w 28 językach i narzeczach i liczy: 7,820 towarzystw, czyli oddziałów bojowych, 14,980 oficerów i kadetów, 68 tysięcy żołnierzy, 20 tysięcy muzyków w swych wojennych orkiestrach. Wydaje 67 pism przygodnych w 19 językach w ogólnej cyrkulacji 2 miliony egzemplarzy i daje w swych przytułkach 8,449,000 noclegów nędzarzom.

W roku ubiegłym sztab główny wydał półtora miliona rubli na różne cele organizacyjne, nie wliczając w to sum, jakimi autonomicznie rozporządzają oddziały i misye.

Po ogłoszeniu w Rosyi ukazu tolerancyjnego Booth uczynił starania o pozwolenie zawiązania i tu swoich oddziałów — ale mu odmówiono.

Swiatowy.

Warszawa w negliżu.



Roboty tramwajowe przy zbiegu ul. Marszałkowskiej i Al. Jerozolimskiej. Najruchliwszy punkt śródmieścia przedstawia widok pożądanego, w nagrodę wszakże Warszawa już w listopadzie ma ujrzeć pierwsze tramwaje elektryczne.



Start w Kownie. Jeźdźcy za chwilę ruszą.

Raid na przestrzeni Kowno-Wilno.

Raid, czyli wyścig dystansowy Kowno-Wilno, odbył się dn. 2 lipca. Dystans 95 wiorst. Koni zgłosiło się 25, wzięło udział 17. Dzień upalny, a zatem wielce niepomyślny dla podobnej imprezy. Nagrody: Pierwszy jeździec żeton złoty, właściciel konia 1000 rb. Nagroda za kondycję: żeton złoty i „nagroda dam“ dla jeźdźca,

który nazajutrz po odbyciu wyścigu przedstawi na torze w Pośpieszce pod Wilnem konia w najlepszej kondycji, chociażby z minimalnym rekordem pierwszej połowy uczestników. Drugi jeździec otrzyma żeton złoty, właściciel konia 200 rb. Trzeci jeździec żeton złoty, właściciel konia 100 rb. Nadto wszyscy uczestnicy wyścigu otrzymają żetony pamiątkowe.

Celownik w miejscowości Pohulanka pod Wilnem.

Start w Kownie o 5 rano. Starter p. Matuszewicz. Poprowadziła galopem „Auf Wiedersehen“ barona Drachenfelsa. Za nią pp. Stan. Wotowski, Józef Rzewuski i inni.

Już o kwadrans na 10 sygnalizowano z Landwarowa telefonem do sędziów w hotelu Żorża w Wilnie, że niektórzy z jeźdźców dojeżdżają do Land-



Meta na Pohulance.

warowa. A więc około 10 będą w Wilnie. Za panami Zawistowskimi udałem się i ja na Pohulankę.

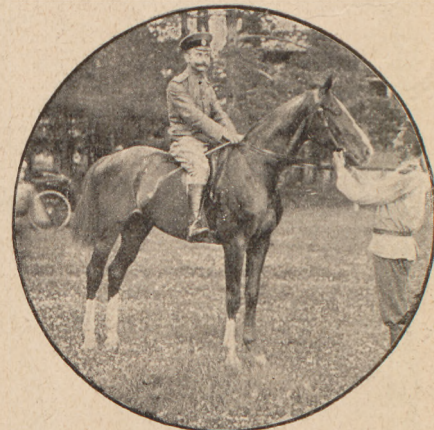
W 5 minut po naszym przybyciu ujrzelśmy zbliżającego się jeźdźcę. Któż to? Już widziany gołem okiem. Piękny kasztan w pełnym galopie. Orkiestra zagrała, posypały się brawa. Godzina 10 m. 13.

Szybkość zdumiewająca. U celownika był pierwszym, przebiegłszy w 4 g. 59 minut „Lunatyk“ pułkownika Milkiewicza pod por. Chabarowym. Kondycja konia doskonała. Przebiegł w 4 godziny 59 min. Ruch u celownika wzmagają się. Za chwilę z gór wychodzi inny.

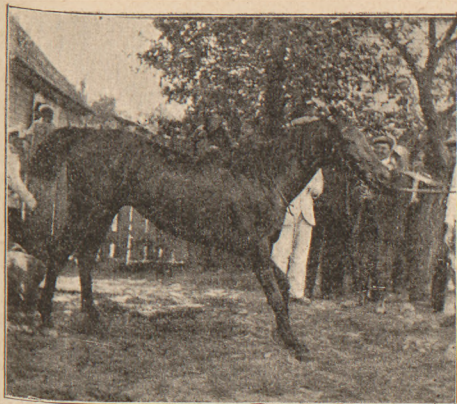
Następnie niemiły widok. Po 95 wiorstach widzimy jak jeździec wyczer-

panego konia batem okłada... Wśród publiczności pomruk niezadowolenia. Drugim był „Guliwer“ (syn „Rulera“) pełnej krwi, ze stada w Landwarowie, pod poręcznikiem Morzyckim, bijąc o pół długości klacz „Lady“, półkrwi pod poręcznikiem Chładowskim. Zaraz po minięciu celownika „Lady“ padła, a pomimo pomocy, w 10 minut już nie żyła. Niebawem padł i „Guliwer“, również z objawami porażenia słonecznego. Czwartym był rotmistrz Lewieniec na „Prawdzie“, klaczy półkrwi, która przysłała w dobrym stanie. — Za nią równie w dobrej kondycji przybył „Pejez“ o półkrwi pod Kurnetę Klimowiczem-Terleckim.

Następuje dłuższa przerwa; zamigotały aparaty w rękach p. Stefani Salomonowiczowej, hr. Waldemara Tyszkiewicza i p. Hermanowi-



„Lunatyk“, ogier ze stada p. Stanisława Wrotnowskiego, na drugi dzień po wyścigu, melduje swój zdrowostan sędziom.



„Guliwer“, pod wpływem porażenia słonecznego, kładzie się u mety.

Pan Józef Rzewuski, opowiada przygody 95-cio wiorstowego raid'u p. St. Salmonowiczowej.



„Lady“, pierwsza ofiara biegu, padła w 10 minut po przybyciu do celownika.

za którzy właśnie tych zdjęć udzielił łaskawie dla „Świata“.

Szóstym przybywa „Landwarów“ rotm. Stepanowa, w bardzo dobrym stanie, wreszcie siódmą „Berdanka“ kor. Gotlunda.

Nastąpiła znów dłuższa przerwa.

W pauzie dowiadujemy się, że pan Ciuńdziewicki pod Jułdanami o 25 wiorst z tąd omdlał, choć życiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

Wreszcie nadjeżdża hr. Artur Lubieniecki na „Fakirze“ ze stada ks. Lubomirskich, w doskonałej kondycji ostrym „cantrem“, witany oklaskami, jako organizator raidu.

Za nim niebawem przybywają p. Józef Rzewuski na „Bagateli“ Wł. Stada i St. Wotowski na „Falstaffie“ anglo-ara-



W oczekiwaniu zapaśników. Na pierwszym planie Wład. hr. Tyszkiewiczowa z dziećmi, Ant. hr. Tyszkiewiczowa, p. Rzewuska, etc.

lem z 1½ wiorsty przed trybunami. Na placu dowiedzieliśmy się, że padły tego dnia „Berdanka“ i „Rognieda“, obie półkrwi. Główny zatem rezultat dnia—to cztery trupy.

Plon smutny który nie mógł nie odbić się na ogólnym nastroju publiczności słusznie zwraca uwagę w „Słowie“ wytrawny sportsmen, p. Stanisław Wotowski, na gorączkę młodszych jeźdźców, który od startu zaraz pogнали galopem. Wyścigi dystansowe mają na celu wykazanie raczej wytrzymałość konia niż jego szybkość. Nie wszyscy uczestnicy tedy zdali egzamin, że umieli się rachować z siłami swych rumaków.

Raid zgromadził w Pohulance dość liczną publiczność, wśród której znalazło się większość sportsmanów litewskich. Nie brakowało także pań, interesujących się sportem.

Wł. Słizień.



Felieton Warszawski.

Na letniem mieszkaniu.

— Dokąd pani w tym roku?
— Ach, do Marienbadu zapewne, jak każdego roku. A pani?
— Ja, na Helgoland, albo gdzie na Bretońskie wybrzeże.
A po tygodniu spotykają się panie—w Grodzisku.
— Cudownie!
— Wie pani, słów nie mam...
— Cudze chwalicie, swego nie znacie.

— Tak, tak.

I dobrze, bo cóżby robił nasz kmiotek zabiegliwy, który już od miesiąca izbę wyprzątnął do czysta, przed chałupą zasiadł, i ani mu w głowie praca na roli.

Wypatruje gości od miasta.

— Żebyś ino twardo ceny dotrzymał—upomina go żona.

— Już ty się nie bój, Marychna, już ja ta rozumiem, jak z niemi trza gadać. Z samą gubernantką potrafię...



Waldemar hr. Tyszkiewicz i p. Rzewuska.

bie, obaj w bardzo dobrym stanie.

W krótkich przerwach przybywają jeszcze: Ożarówskij, Lewieniec II, Biełokopytow i ostatni na zupełnie wyczerpanej kłaczce „Rognieda“ Wierszynin, który donosi, że o 12 wiorst od Wilna padł „Mindowe“ po „Owencie“ pod szt. rot. Pelikanem..



Hr. Artur Lubieniecki, uczestnik i inicjator raid'u, wraca od wagi.

Członek Jury, p. St. Osiecimski, dzieli się ostatnimi nowinami z p. Rossetową.

Na drugi dzień rozdano nagrody na placu wyścigowym, Jury sędziów składali pp. Hip. Korwin Milewski, J. Breza, St. Osiecimski, Piłsudzki.

„Nagrodę dam“ za najlepszą kondycję konia, piękny portecigares wręczyła p. Stanisława Klimowiczowi Terleickiemu za „Pejeza“, który był w tak świetnym stanie, że przeszedł cwa-

— A możeby ze dwa chojacki podle chałupska gdzie wściubić, bo letniki lubięją zielone.

I nocką chłopek ścina w dworskim zagaju chojaczki, bo czegożby nie zrobił, pocziwy, byle letniemu państwu wygodzić.

Gotów do ofiar, i sam dziedzie dobrodziej:

— Najpiękniejsze mieszkanko właśnie dla państwa. Cztery werandy, panie, tapety, a domek, sam w sobie, na wyłączny użytek. A nas, jakby nie było. Na stryszku, byle gdzie, jakoś się latko przepędzi, ale w dobrej komitywie, po sąsiedzku, zgodnie. A i żonisko, panie, też będzie rade; inteligencya pierwsza w powiecie, a tu rok okrągły człowieka nie widzi. Ludzie jesteśmy spokojni, a dzieci wody nie zamąca.

Ale, biada ci, nieopatrzny, jeśli masz ludzi spokojnych nad głową, bo i tobie głośniej odezwać się nie wolno, a działki, wody nie macące, bywają niekiedy tak dokuczliwe na łądzie, że chętniebyś je w pierwszej kałuży utopił.

Bo ty, luby letniku, jesteś jak zorza; wita cię wszędzie uśmiech przyjazny, szczęście idzie twym śladem, skoroś jednak już osiadł w mieszkaniu, i za nie zapłacił, stajesz się dla otoczenia, jako noc jesienna, ponury, dręczący.

Tymczasem jednak dba jeszcze o ciebie, o twoje przyszłe wygody, przedewszystkiem, uprzejmy pośrednik w wyszukaniu mieszkania. Zbiegał, powiada, całą gubernię, i oto zadyszany, radosny, stoi przed tobą.

— Mam wille!... Ale to nie jest willa, to jest Łazienki, cały pałac jest! I państwo już tam zostaną, daj Boże, sto lat. Bo ani wilgoc, ani żadne bandyty, i za pół darmo, bo on jest jak waryat, co chce to wynająć.

— I gdzież to?

— Dwa kroki Wisła, pięć kroków Świder... Las,—oj,—to jest las...

I siada zadyszany pośrednik, a taka radość promienieje z jego twarzy, jak gdyby odkrył jakieś ziemie nieznanne, ty zaś dopytujesz się ciekawie o bliższe szczegóły.

— Co dużo gadać? Dwa kroki Wisła... Pan sobie idzie i złapie żywe ryby, pan się kąpie, pan pływa z łódką, pan jest ciągle na wodzie, jak okręt. A jak się pan znudzi, to idzie do lasu, i zbiera trochę grzybki, albo chodzi z fuzyą, i złapie zające. Pan już rozumie, co warte takie mieszkanie, to prawdziwy skarb jest. I ja pana każe to brać; ja już nawet wyłożyłem za datek.

Istotnie: las, woda, cena pół darmo, ale czyż jest na tej ziemi świetlana radość, bez zmroku? Słu-

chasz, rozważasz, ale oto z myśli wylania się trwoga, i dzielisz wrazenie.

— No tak: dwa kroki Wisła.. Więc w razie powodzi...

I—jakbyś warem w pośrednika chlusnął:

— Jakie powódź, jaka Wisła? Gdzie pańska willa, gdzie Wisła? Trzy wiorsty Wisła, jak może być powódź? Po co takie gadanie?

— Ale ja nie chcę letniego mieszkania bez wody—kwili twoja małżonka.

— Jakie bez wody?—i pochyla się głowa brodata do ucha jejmości:

— Dwa kroki Wisła!... Na moje sumienie.

To, o dwa kroki Wisła, spotyka cię co kroku, bo każde letnisko, to raj w sobie zamknięty, i więcej jak raj, bo niema tam drzew wiadomości dobrego i złego, lecz niewzbronna, grzeszna ciekawość, i spożywanie wszystkich owoców, byle ci tylko ochoty, fantazy, i gotowizny starczyło. A jeśli tam gdzie sufit przecieka, ściany grzybem porosły, z dymiącym piecem umartwienie, nocą znęca się „owad ladażaki“, a dniem ciągle na ciebie narzeka gospodarz, stróż, sąsiad,—toć czego jednak człek nie poświęci—dla zdrowia?

Suną też dniem, nocą, brzemienne wagony, ronią po stacyach barwne kłęby ludzi. Podniecone mamy, i w trwodze, czy nie zapomniły czego; zadumane paniąki, jakby coś pozostawiły w Warszawie, i po coś jadą na letnie, a w myślach już ważą, co lepsze; gromadki dzieci, a z niemi wedy, łuki, trąbki dźwiękliwe, jakieś patyki, statek rozmaity, nieokreślonego kształtu, niewiadomych użytków.

— Do czego to, proszę kawalera?—pyta butnego chłopaczka cichy, zawiedły staruszek.

— Do grłania.

— A tamto?

— To jest muzykalny latawiec, — odpowiada z dumą brat starszy.

— A to okrągłe?

— To jest bak wodny. Ale ja mam jeszcze i flower, który strzela prawdziwemi kulami.

— A ja mam prłocę.

— A dokąd jadą panowie?—pyta z trwogą staruszek.

— Do Milanówka, p-szę pana.

— O Boże!...

Ciasno w wagonach, więc garną się ludzie ku sobie, i gniołają. W duszach niepokój, rozognione twarze, na ustach krótkie zdania krzyżują się, w zatłoczonym przejściu.

— Ach, jakże gorąco!

— Ach, teraz boso bym chciała.

— Ach, łódka... Ach. w zeszłym roku...

— Nenufary pamiętasz? Ciekawam, czy w tym roku przyjedzie...

— Mamusi! Czy zapakowana fioletowa matinka?

— Panie konduktorze, przecie to niemożliwe.

— Kankutor!

— Panie, na litość Boską, bo kto jeszcze zobaczy...

— Wyjmij paluszek z buzi, Józieczku.

— Panie konduktor!

— O, proszę pani, za granicą zupełnie inne porządki.

— O tak, tak... Tak bym chciała, żebyś całe życie tę rękę...

Włochy, Pruszków, Grodzisk. Kłębi się ludzka fala. Ten wraca, ta jedzie, a całują się wszyscy. Starsze panie długo, gorąco, zaciekle, wstydliwie młode mężatki, a tu i owdzie drży szczerą ochota na ustach. Narzekania, przekleństwa, znów pocałunki, znów młode małżonki, i świeże, i ładne, aż ci się serce rwie.. na letnie mieszkanie...

I trzeci dzwonek, i,— pisz do mnie, i,—rolety, Władeczk, i,—balii nie zapomnij, i,—tego kretonu, co wiesz, i,—żeby meble trzepała Jagusia, a — jakbyś ty coś takiego, jabym chyba umarła, nad wszystkie zaś głosy jęk rozpaczliwy, przyzywania żalosne:

— Konduktor! Konduktor!

Sapie, bucha kłębami maszyna, ciężko za nią się toczą twarde, nieugięte, szkoda, że nierozciągliwe, wagony, a w nich głowa przy głowie, serce przy sercu, uczuły tysiące, namiętności, pragnienia, troski, i śmiech, a hasło—po zdrowie.

Po zdrowie, bo człek lubi nie tylko drugich, lecz i siebie okłamać, i w tem życia wdzięk.

A może, i jednak—po zdrowie, bo trawić uczucia przez jesień i zimę, przy jednym ognisku, we dwoje, toć nuda, a nuda—choroba...

Zygmunt Bartkiewicz.



Nowy ban chorwacki.



Aleksander Rakodczay, którego nominacja na bana Chorwacyi wywołała w Zagrzebiu nader poważne demonstracje.



Z poświęcenia fundamentów pod gmach Związku Kółek rolniczych we Lwowie. (Wśród obecnych drugi z rzędu u dołu hr. St. Badeni, marszałek krajowy Galicji).

Kółka rolnicze w Galicji.

Wiemy wszyscy, jaką rolę odegrała instytucja Kółek rolniczych w dziejach odrodzenia Księstwa i Prus królewskich, za mało wiemy o tem, czem są Kółka rolnicze dla Galicji, gdzie istnieją nie od dziś i spełniają także pierwszorzędą misję kulturalną, narodową i ekonomiczną, wśród ludu wiejskiego.

Przed 25 laty powstało pierwsze Kółko rolnicze w Galicji. Pamiętna to data. Z małych bowiem początków wyłoniło się z czasem dzieło na ogromną zakrojone skale, dzieło imponujące rozmiarami, zasługą i wpływem, dzieło, któremu społeczeństwo polskie w tej dzielnicy naszej ojczyzny może się słusznie pochlubić. Rozwojowi jego współdziałały dosłownie wszystkie

czynniki tego społeczeństwa, od najwyższej władzy autonomicznej i sejmu krajowego do skromnego plebana wiejskiego, nauczyciela i oświeconego włościanina. Wszyscy zrozumieili jego znaczenie — wszyscy biorą dziś udział w plonie ćwierćwiekowych mrówczych wysiłków.



A. Zaremba Cielecki, prezes Zw. Kółek rolniczych w Galicji.



Ks. biskup Bandurski, poświęca fundamenty pod dom Towarzystwa Kółek rolniczych we Lwowie.

A plon to, na który z radością spoglądać może cały naród.

Towarzystwo centralne, mające siedzibę we Lwowie, skupia 1,320, słownie: tysiąc trzysta dwadzieścia kółek rolniczych o liczbie 55,519 członków zwyczajnych i 1,020 wspierających. W ciągu lat 25 instytucja powołała do życia około 2,000 sklepików wiejskich, z których 872, prowadzonych pod firmą kółek rolniczych, wykazuje roczny obrót 12 milionów koron. W tym samym czasie rozpozyszczyła 72,000 własnych wydawnictw treści gospodarczej i pół miliona innych książek, nie licząc 21 roczników „Przewodnika“, który się rozchodzi w 52,000 egzemplarzy i własnego kalendarza, który bije się w 36,000 egz. Prób rolniczych, mających na celu podniesienie kultury

rolnej, przeprowadzono 5,650 na 1,800 morgach w 4,095 gospodarstwach włościańskich. Każda taka próba była rozsądnym postępowaniem rolniczym w danej miejscowości. Nauczono Kółka rolnicze zbiorowego zakupywania artykułów rolniczych i doprowadzono do tego, że zamówienia ich na nawozy, nasiona, maszyny, węgiel, paszę i t. p. wyniosły w ostatnim roku 750,000 koron. Kółka posiadają własne domy wartości 660,000 koron, a jaki duch ożywia je, poucza fakt, iż w ciągu ubiegłego ćwierćwiecza ofiarowały poważną kwotę około 400,000 koron na cele publiczne, nierolnicze.

Jedną z największych zasług głównego zarządu instytucji jest stworzenie handlu wiejskiego na zdrowych, rodzimych podstawach! Cały ruch na tem polu skupia się w „Związku handlowym Kółek rolniczych w Krakowie“, który, posiadając trzy filie, we Lwowie, w Rzeszowie i w Wieliczce, dokonał w ciągu 15 lat swego istnienia obrotów towarowych na 50 milionów koron.

Dwudziestą piątą rocznicę założenia pierwszego Kółka rolniczego w Galicji upamiętnia dziś Towarzystwo poświęceniem fundamentów pod dom własny we Lwowie. W tem pięknym święcie pracy społecznej wzięło udział bezpośredni lub duchowy wszystko, co w kraju naszym czuje i myśli po polsku, wszystko, co rozumie, że w wielkim tym warstacie moralnego i gospodarczego dźwignania się poziomu polskiego włościanstwa, jakim są zorganizowane w spójną i solidarną całość Kółka rolnicze, wytwarza się kamień węgielny naszej

przyszłości, przyoblekają się w kształt konkretny zwolna, ale pewnie, każdego dnia, każdej godziny nasze sny o jutrze.

Lwów.

J. Lęski.



Powstanie Związku katolickiego.

Podajemy niżej dokument, dotyczący założenia Związku Katolickiego w kraju naszym. Podaliśmy niedawno portrety trzech osób z liczby twórców tej instytucji,—właśnie pod niniejszym dokumentem po opisanych. Dlaczego taki wybór uczyniliśmy? Łatwo zrozumieć: Ci właśnie trzej działacze na zebraniu organizacyjnym w sali Muzeum wystąpili z mowami, wyjaśniającymi znaczenie, charakter i cele Związku.

Oddawna odczuwano u nas potrzebę zrzeczenia się katolików w celu rozwinięcia szerszej akcji, w myśl wiekopomych Encyklik Leona XIII i za przykładem innych katolickich narodów. Od roku 1904 ks. prałat Antoni Szaniawski, redaktor i wydawca „Przeglądu Katolickiego”, poruszał tę sprawę w ścisłym kółku osób zbliżonych do „Przeglądu”. Wypadki, zaszły po Manifestie z dnia 30 października, wstrząsnęły do głębi religijne uczucia katolików i przyczyniły się do przyspieszenia wystąpienia, mającego na celu utworzenie silnej organizacji dla akcji katolickiej. W Nr. 45-ym „Przeglądu Katolickiego” z d. 9 listopada 1905 r., ogłoszoną została pierwsza odezwa w tym duchu, a jednocześnie ks. prałat Szaniawski powołał kilku bliżej sobie znanych, a rzeczy świadomych osób, które wspólnie z nim podjęły przedwstępną pracę. Początkowe zebrania, rozpoczęte w dniu 5 listopada 1905 r., odbywały się co tydzień, a następnie, gdy liczba współpracowników wzrosła po nad 40 osób, wynajęto lokal przy al. Jerozolimskiej pod Nr. 66 i odtąd posiedzenia były częstsze, od 2 do 3 razy tygodniowo. Przewodnictwo objął hr. Juliusz Ostrowski. W ciągu niespełna dwóch miesięcy opracowano zasadnicze wskazówki co do celu i zadań Związku katolickiego, poczem do ułożenia ustawy projektowanego Związku powołaną została Komisja redakcyjna. Wszakże projekt ustawy, przedstawiony zebraniu pierwotnych współpracowników w dniu 19 stycznia 1906 r., nie zyskał aprobaty tego zgromadzenia; wskutek czego powierzono ułożenie nowego projektu ks. prałatowi Szaniawskiemu i adwokatowi przysięgłym Stefanowi Godlewskiemu i Konstantemu Kossakowskiemu, a to—na podstawie opracowanego już i wydrukowanego programu działalności projektowanego Związku.

Obmyślana przez nową Komisję redakcyjną organizacja Związku i zredagowana przez nią ustawa przyjęta została na posiedzeniu powiększonego grona pierwotnych współpracowników w d. 26 stycznia 1906 r., a po uzyskaniu dla niej w dniu 5 marca 1906 r. aprobaty Jego Ekscelencji ks. Arcybiskupa-Metropolity Warszawskiego Chościak-Popiela, z pewnymi wskazaniem przez Jego Ekscelencję uzupełnieniami, rozpoczęto niezwłocznie starania o zatwierdzenie ustawy przez władze rządowe. Starania te były nader uciążliwe i dopiero w dniu 20 marca 1907 r. udało się pozyskać, z niewielkimi formalnymi zmianami, zatwierdzenie Ministra Spraw Wewnętrznych.

Dla ścisłości należy dodać, że, w myśl § 2 Przepisów Przechodnich Ustawy Związku, osoby, które na zebraniu, odbytem w dniu 14 lutego 1906 r., podpisały, na zaproszenie inicjatorów, projekt ustawy, ukonstytuowały się niezwłocznie w Centralny Komitet Organizacyjny, który następnie, drogą tajnego głosowania za pomocą kartek, powołał z pośród siebie do Zarządu tymczasowego: ks. prałata Antoniego Szaniawskiego, jako inicjatora-kierownika, hr. Juliusza Ostrowskiego, jako prezesa Centralnego Komitetu Organizacyjnego, oraz p.p.: Teodora Jeske-Choińskiego, Stefana Godlewskiego, hr. Feliksa Grabowskiego, Konstantego Kossakowskiego i Eustachego Szymonowskiego, jako członków Zarządu.

Z powyższego wyjaśnienia okazuje się, że pierwotnym inicjatorem Związku katolickiego jest ks. prałat Antoni Szaniawski, a Ustawa tegoż Związku i dalszy bieg działalności organizacyjnej—owocem wspólnej pracy wielu ludzi dobrej woli, którzy dopomogli i dopomagają zacząć myśl jego urzeczywistnić.

Warszawa, d. 5 lipca 1907 r.

K. Kossakowski.

J. Ostrowski.

Stefan Godlewski.

P. M. S.

Komitet Daru Narodowego niniejszym ma honor prosić Szanowne Zarządy Kół Macierzy, osoby posiadające listy składek, oraz instytucje finansowe i redakcje pism, które łaskawie okazywały pomoc przy zbieraniu składek, o śpieszne nadesłanie do Zarządu Głównego zebranych ofiar wraz z dowodami, najpóźniej do d. 1-go sierpnia r. b.

Jednocześnie zawiadamiamy, że nie byliśmy w stanie rozesłać inkasentów do wszystkich domów w Warszawie, prosimy przeto osoby, które z tego powodu nie wniosły swych składek, o złożenie takowych w Zarządzie Głównym P. M. S. Senatorska 8. Biuro otwarte codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt od g. 10-tej do 5-tej p.p.

Ze świata finansowego.

„Petersburskie Towarzystwo Ubezpieczeń” wkrótce będzie obchodziło półwiekowy jubileusz swego istnienia. Towarzystwo to, aczkolwiek siedliskiem

jego jest Petersburg, administrowane jest przez Polaków, a większość akcji znajduje się w polskich rękach. Prezesem Zarządu jest p. Władysław Żukowski, b. poseł do Dumy, głównym dyrektorem—p. Teofil Marynowski. Dzisiejszy Zarząd miał niełatwe zadanie: musiał dotożyć energicznych usiłowań, aby naprawić szkody, wyrządzone przez nieogłędą gospodarkę poprzedników. Wdali się oni w budowę ogromnego hotelu „Metropol” w Moskwie, który pochłonął wielkie sumy. Teraz wszakże budowa została ukończoną, „Metropol” przynosi Towarzystwu ćwierć miliona rubli dochodu, a prócz tego, dla wzmocnienia kapitału zapasowego, Towarzystwo wypuszcza nową emisję „akcji uprzywilejowanych” na sumę miliona rubli („akcje uprzywilejowane” różnią się tem od zwyczajnych, że mają zastawione minimum dywidendy). Jeden z najpoważniejszych banków petersburskich podjął się tej operacji. I oto dzięki „polnischer Wirtschaft” jedna z najstarszych instytucji ubezpieczeniowych odzyskuje pierwszorzędne stanowisko.



O. Bernardyni na Podlasiu.



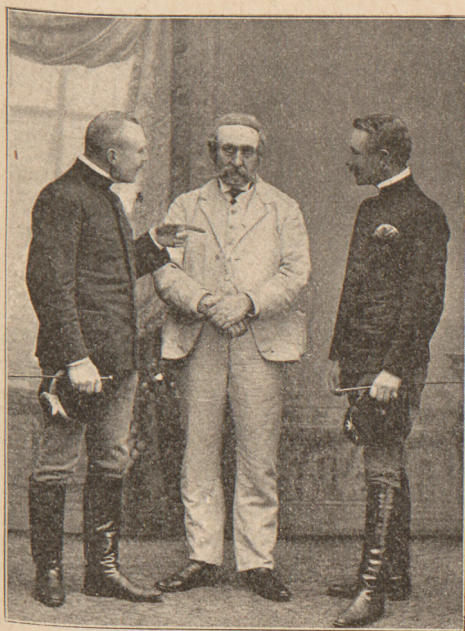
O. Paweł. O. Dyonizy. O. Ryszard.

W pierwszych dniach b. m. przybyli na misję do Janowa Podolskiego z Galicyi trzej zakonnicy, których nauki, wygłaszane językiem prostym i dostępnym, gromadziły liczne tłumy. Wśród uczestników znalazł się blisko stuletni żebrak-staruszek, który pamięta doskonale wypadki w 1831 r. Na zakończenie misji, po ustawieniu krzyża pamiątkowego, O. Dyonizy wypowiedział mowę, która wywołała wielkie wrażenie, i udzielił wszystkim błogosławieństwa apostołskiego.

Karykatury rosyjskie.



Konferencja pokojowa w Hadze.



Tow. dramatyczne amatorskie we Włocławku, choć niedawno założone, rozwija się doskonale. Wśród członków znajdują się zarówno obywatele ze wsi jak z miasta. Prezesem Tow. jest pan Karasiński, piastujący równocześnie urząd prezesa Tow. wioślarzy włocławskich. Niedawno urządzono z wielkim powodzeniem widowisko na dochód bezpłatnej czytelnicy przy włocławskim Towarzystwie wspomagania biednych. Grano nieśmiertelnych „Wicka i Wacka” Przybylskiego, a grano doskonale. — Fotografia przedstawia scenę VI z aktu II-go. Wickiem (pierwszy na lewo) jest p. Bojańczyk, Wackiem (na prawo) p. Brochocki, a starym Klepackim (w środku) pan Zawadzki.

„Kamień wśród kamieni“.

(Sztuka w 4-ach aktach H. Sudermanna, przełożona na język polski przez M. Gawalewicza, wystawiona w Teatrze Małym.)

Historia cnotliwego zbrodniarza. Czładowik kamieniarski Biegler zabił w uniesieniu męża swej kochanki. Sąd przysięgłych obszedł się z nim źle, skazał go na więzienie. Biegler ogromnie się wstydził, że popełnił morderstwo i że siedział w więzieniu. Szczęściem trafia na cnotliwego pracodawcę, Zarnkego, który ma słabość do złodziei i zbrodniarzy. Zarnke ofiaruje Bieglerowi posadę nocnego stróża.—Będziesz sobie spacerował w nocy po fabryce i będziesz od czasu do czasu gwizdał!—Panie Zarnke, tyle szczęścia! Ale na tym padole płaczu obok ludzi cnotliwych, są także ludzie źli. Bardzo złym jest Gottling, piękniś kamieniarski, uwodziciel z pięciorzędnych piwiarni. Traktuje Bieglera gorzej niż psa, zaś za jego przykładem i inni robotnicy odwracają się ze wzgardą od byłego kryminalisty. Równocześnie jednak otaczają nader żywą przychylnością innego kryminalistę, Strubpego, który przy poobiedniej siescie improwizuje z naiwnym zachwytem panegiryki na cześć kryminału. Bieglera nienawidzi jeszcze stary pijak Eichholtz, który poprzednio pełnił obowiązki stróża nocnego, a który dostał dymisję z emeryturą (bo p. Zarnke jest cnotliwy). Don Zuan—Gottling uwiódł

Eichholtzowi córkę, Lorę; pomimo że ma z nią dziecko, a żenić się nie chce, ojciec żyje z nim w najczulszej przyjaźni. Między cnotliwym zbrodniarzem, a cnotliwą uwiedzioną wyłania się bardzo cnotliwa sympatya. Oboje są cnotliwi a nieszczęśliwi. On staje w jej obronie przeciw złemu Gottlingowi; ona uratuje mu życie, gdy tenże zły Gottling namówi starego Eichholtza, by spuścił na nocnego stróża olbrzymi odłam piaskowca. Cnota w melodramatach zawsze zostaje w ostatecznym akcie wynagrodzoną. Robotnicy przyjmą cnotliwego zbrodniarza do swego grona, Lora zapewne go poślubi. Nieszczęśliwą pozostanie tylko biedna ułomna córka cnotliwego pracodawcy Zarnkego—o jej garbie mówi się dużo, ale nie widzi go się wcale). Po co ta biedna dziewczyna błąka się po scenie, o tem wie prawdopodobnie tylko Sudermann, któremu z symbolistyką stanowczo jest nie do twarzy.

„Kamień wśród Kamieni“ należy do najsłabszych utworów tego majstra teatralnego. Akcja jest rozwlekła. Teza płytko ujęta. Miast żywych ludzi—szablony, pomalowane na biało i na czarno. W skutek tego wypadki, rozgrywane się na scenie, nie wzruszają, a nawet mało zajmują. Oczywiście Sudermann jest zbyt wytrawnym i utalentowanym. *Theater mensch'em*, aby nawet w gorszej sztuce nie było interesujących i zabawnych epizodów.

Przekład doskonały. Wystawa nader staranna. Prócz paru wyjątków, zespół Teatru Małego grał melodramat Sudermanna bardzo dobrze. Wyróżnili się pp. Duninówna Mielnicki i Staszkowski. Młody artysta, p. Maryński zdaje się zapowiadać istotny talent sceniczny. S. K.



Kuno Fischer.

Jeden z najslawniejszych historyków filozofii. Wykształcił całe pokolenie pracowników, przywiązując ich do tej „matki nauk“ w czasie kiedy nawet za „marche“ jej nie chcieli, lecz wyganiano ją ze świątyni nauki i wiedzy niby obcą, niby intruza. Pomimo sławy europejskiej Fischer pozostał całe życie w Heidelbergu. Małe niemieckie uniwersytety umieją jak się pokazuje, z centralistycznym prądem, który wszystkie sławy niemieckiej nauki usiłuje ściągnąć ku Berlinowi. W ten sposób Lipsk ma ciągle Wundta, Marburg—Beeringa, Friburg, Roentgena. Fischer choć starzec wykladał niemal do ostatnich lat życia. Zeszedł z katedry kiedy mu wiek resztki sił już odjął. Śmierć nastąpiła wkrótce po rezygnacji.



Kuno Fischer.

Filharmonia objęła operę warszawską.

W zarządzie teatrów warszawskich zaszła poważna zmiana. Widowiska operowe zostały wydzierżawione Filharmonii na lat pięć. W ten



Aleksander Rejchman, dyrektor Filharmonii i opery warszawskiej.

sposób od jesienni dyrektorem Opery Warszawskiej zostaje p. Aleksander Rajchman, ruchliwy i przedsiębiorczy dyrektor Filharmonii.

Nie podobna wydawać sądu o dokonanej umowie, znając z niej tylko te szczegóły, które ujawniła w

dziennikach strona interesowana. Wiemy, że Filharmonia dostaje na widowiska operowe bezpłatnie salę, opał, światło, całkowity inwentarz dekoracyjny, rekwizytorski, kostyumowy i biblioteczny, instrumenta, scenariusze etc. Nie wiemy, jakie daje gwarancje, że w zamian za tak poważne subsydyum utrzyma operę warszawską na odpowiednim poziomie artystycznym.

Pod tym względem wszakże dotychczasowa działalność p. Rajchmana w Filharmonii pozwala spodziewać się, że do zatęchłej atmosfery Teatru Wielkiego wpłyną strumienie świeżego powietrza, że gorączkowe życie zapanuje tam, gdzie królowała rutyna i beznamiętna apatya. Z wywiadu, ogłoszonego w „Kuryerze Warszawskim“, dowiadujemy się, że otwarcie sezonu nastąpi w połowie października, że na pierwszy ogień pójdzie rozgłośna „Salome“ Ryszarda Straussa, a potem „Pani Butterfly“ Pucciniego i „Stara Baśń“ Żeleńskiego, że pierwszym kapelmistrzem będzie bar. Reznicek, drugim Zygmunt Noskowski, że personel solistów będzie całkowicie odnowiony.

Objęcie dyrekcyi Opery przez Filharmonię, nie spotkało się we wszystkich pismach z równie życzliwą oceną. Sądzymy, że skoro po wielu latach na czele Opery staje instytucya polska,—i staje niewątpliwie z najlepszymi chęciami,—należy jej okazać poparcie, a już conajmniej powstrzymać się od przedczesnych krytyk, które muszą czynić wrażenie ataków, zaprawionych osobistą niechęcią. I życzymy szczerze, aby ta pierwsza próba uzdrowienia teatrów warszawskich uwieczniona została jak najpiękniejszym powodzeniem.

Sk.



Odpowiedzi od Redakcyi.

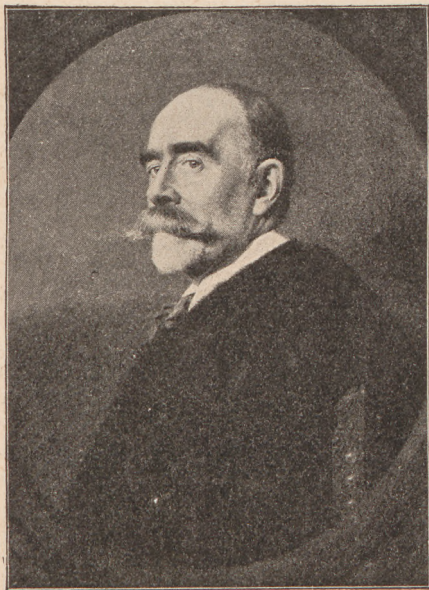
Śmialemu. Nadesłana nam próbka świadczy, iż Sz. Pan umie się „wypisać“. Wyrokować z niej o talencie niepodobna.



poleca: Najpraktyczniejsze dla naszych stosunków maszyny do pisania „Hammond” — na jednej maszynie można pisać wszystkimi językami.

NEKROLOGIA.

Ś. p. Konstanty Werner.



(Fot. firmy J. Golcz, wedł. portretu hr. Mnisscha).

obywatel m. Warszawy, zmarł dn. 4 lipca w wieku lat 72. Zmarły pozostawił znaczne zapisy na cele publiczne, jak na rzecz Polskiej Macierzy Szkolnej, Uniwersytetu ludowego, Towarzystwa Dobroczynności i budowy kościoła Zbawiciela przy ul. Marszałkowskiej. Zapis na Tow. Dobroczynności wynosi około 30 tysięcy rb., na budowę kościoła Zbawiciela około 50 tysięcy.

Ś. p. Hipolit Cieszkowski.

Urodził się w 1835 r., jako syn Michała, b. oficera wojsk polskich i właściciela dóbr Krzeczkowa w gub. Płockiej. Po ukończeniu gimnazjum płockiego, poświęcił się zawodowi technicznemu i pracował w zarządzie komunikacji warszawskiej. Tu w r. 1859 złożył egzamin na inżyniera. Od r. 1862 budował różne koleje: łódzką, libawską, benderogałacką, wreszcie iwangrodzko-dąbrowską. Był on zaufanym technicznym doradcą Jana Blocha.

Ostatnio miał urząd wice-prezesa, a w końcu, od 1905 r. prezesa Rady zarządzającej Kolei Fabryczno-Łódzkiej. Ogłosił drukiem kilka prac specjalnych. Najważniejsze to: „Uwagi nad projektem kanalizacji m. Warszawy”, „Elektryczność” i „Zaprojektowane tramwaje warszawskie”, studium finansowe. Umarł po dłuższej chorobie dnia 3 lipca 1907 r.

Ś. p. inż. Edward Szymański.

Jest to nowa ofiara mordu partyjnego, tem boleśniejsza, ponieważ zabity dn. 9 b. m. na ul. Nowogrodzkiej Szymański, który padł z ręki pięciu niewykrytych morderców, cieszył się ogólną

sympatją ze strony robotników i podwładnych, których stronę zawsze trzymał. Wychowaniec politechniki w Rydze, pełnił od lat 18 obowiązków inżyniera miejskiego w warszawskiej kanalizacji i wodociągach, jako jeden z dwóch zastępców głównego inżyniera Lindleya. Śmierć spotkała go w sile wieku męskiego, bo w 45 roku życia.



Ś. p. Ignacy Strzeziński.

Liczny orszak żałobny, z przedstawicielami magistratu i Tow. lekarskiego na czele, odprowadził w tych czasach w Wilnie na spoczynek wieczny na pięknej Rosie zwłoki poważanego lekarza-okulisty, ś. p. Ignacego Strzezińskiego, zgasłego w sile wieku, bo zaledwie w 50-ym roku życia. Ś. p. Strzeziński ukończył uniwersytet warszawski. W Wilnie dłuższy czas był ordynatorem wzorowego szpitala oftalm. im. Tyzenhauzów-Przeździeckich, a także czas jakiś szpitala kolejowego. Zmarły piastował również urzędy wice-prezesa wileńskiego Tow. lekarskiego i prezesa miejskiej komisji sanitarnej (po zasłużonym jej kierowniku d-rze med. Cezarze Staniewiczu). Był od niedawna radnym m. Wilna. Jako specjalista w gałęzi wiedzy okulistycznej, drukował S. dużo rozpraw i artykułów w wydawnictwach polskich i obcych. Zajmował go towarzyszenie i o mistrzu Andrzeju Towiańskim podał Strz. artykuł w „Tygodn. Polskim”. Nadmienić też wypada, że zmarły był jednym z nielicznych lekarzy wileńskich, piszących wzorowo po polsku. W miarę zdrowia i czasu przyjmował Strzeziński żywy udział w ruchu społecznym w Wilnie.

Wilno.

L-staw.

Ś. p. Mikołaj Glinka.

zmarł w Warszawie dn. 12 lipca w wieku lat 80. Długoletni radca T. K. Z. i b. sędzia z wyborów ziemi łomżyńskiej, właścicieli rozległych dóbr Szczawin w Łomżyńskiem, należał do grona najbardziej zasłużonych i wybitnych obywateli wśród naszego ziemianstwa. Osiorecił trzech synów: Antoniego, Władysława i Zygmunta Glinków, oraz córkę p. Jadwigę Popielową.



Ś. p. z hr. Butlerów
Helena Januszkowska.

żona inżyniera, zmarła w Irkucku, przeżywszy lat 51. Brała czynny udział w życiu i rozwoju naszych instytucji filantropijnych o szerszym zakresie społecznym. Pozostawiła męża i trzech synów. Zwłoki będą przewiezione na Litwę.



Ś. p. Zygmunt Morawski.

W Tarnowie zakończył życie jeden ze starszych, zasłużonych pedagogów polskich w Galicji, ś. p. prof. Zygmunt Morawski, uwielbiany przez młodzież, która widziała w nim wychowawcę-przyjaciela, wedle najpiękniejszych tradycji naszego szkolnictwa. W latach 1881—1889 wydawał ś. p. Morawski pismo popularne „Przyrodnik”, nadto ułożył podręcznik do nauki historii naturalnej dla szkół żeńskich, w którym szczególny nacisk położył na rzeczy swojskie. Zasiadał piórem swem czasopisma fachowe, jak organ Tow. naucz. szkół wyższych „Muzeum”, „Szkołę”, „Wiedzę i pracę” i w. in. W ostatnich latach życia, powołany przez konwent Bernardynów, uporządkował bibliotekę klasztorne we Lwowie, w Kalwaryi i w Leżajsku. Pogrzeb ś. p. Morawskiego w Tarnowie był świetną manifestacją uznania zasług zmarłego pedagoga ze strony szerokich kół ludności.



Pijcie piwo „Waldszleschen”

Żądać wszędzie.

Tow. urzędzeń szkolnych „URANIA”
i pomocy naukowych
WARSZAWA, BRACKA 18 tel. 7769.

Stała wystawa pomocy naukowych.
Biurowe otwarte od g. 10 r. do g. 7 w.

Cenniki: No 1. Dla szkół ludowych i początkow.
No 2. Pomoc do wykł. geogr. i histor.
No 3. Pomoc do wykł. nauk przyrodn.
No 4. Latarnie magiczne i przezroczna.
No 5. Pom. do wykł. fizyki i chemii
(w przygot.)

(889)

D-r D. BALSZYM

b. Lek. Klin. Uniw. Szp. S-go Łazarza. Wener. skórne i moczopłciowe Szkolna 5. (Marszałk 140). do 11 r. i od 4—7 w. Panie 3—4.

Tow. Akc. Browaru Haberbusch i Schiele

1041 poleca PIWO PILZEŃSKIE

HOTEL CONTINENTAL
w Kijowie.

Zakład Przewozowy

„SYRENA”
Krak. Przedm. 38